

63846/3



304736

I.

Sal Redutowe, mimo, iż obszerne bardzo, nie mogły pomieścić wieczorem dnia tego ściągających do nich tłumów, które rychło bardzo zapełniły zarówno cały Plac Krasińskich, jak i wszystkie przylegające do niego ulice...

Różnego stanu byli tam ludzie, — nie brakło posłów sejmowych i majsterków z Starego Miasta, urzędników i oficerów, studentów, kupców i terminatorów, czeladników i przekupniów, człek prostego stanu stał ramię przy ramieniu z dygnitarzem lub szlachcicem, zjednoczeni jedną wielką troską o dobro Ojczyzny, o tę wolność umiłowaną, której skraj zaledwie, brzeżek nieznaczny ujrzeć zdołali, a którą pragnęli mieć wszyscy całą i niepodzielną...

Walili też wszyscy do Sal Redutowych, ciekawi wielce, co im pan Mochnacki i przyjaciele jego powiedzieć mogą, a zarazem pełni niechęci do Rady Administracyjnej, która tem samem już, że „układy“ z Konstantym wszczęła, do reszty straciła serce Warszawy i nieprzejednanych a zaciętych nieprzyjaciół pozyskała... Boć większość z tłumu sądziła, że „układy“ — to powrót znów Konstantego do władzy, to zatracenie wolności...

Walili więc wszyscy zbrojni w co się dało, a więc w zdobyte karabiny, przyniesione z domu pałasze, pugiwały, pistolety, a z bronią tą gotowi byli każdej

chwili rzucić się na wroga, którego im wskaże wódz ich, bożyszcze, Maurycy Mochnacki...

Wrzawa, połączona ze szczękiem broni, wprost ogłuszająca panowała w dusznych, ledwie rozświetlonych płonąciami w kinkietach świecami Salach Redutowych, gdy na stole, służącym za mównicę, ukazał się Mochnacki...

Przywitały go donośne okrzyki, ucichły jednak zaraz, gdy skinieniem ręki dał znak, że pragnie mówić...

Niepozorna postać jego, pod wpływem przejmującej go idei, zdawała się rosnąć, olbrzymieć, a z tysięcy utkwionych weń oczu zdało się, że czerpał moc i zrozumienie, że nadeszła chwila decydująca...

Mochnacki zaczął mówić, a z ust jego jakby błyskały płomienie, oczy iskrzyły się ogniem uczucia, niekiedy zaś szyderski uśmiech wykazywał całą głębię pogardy jego dla tych, którzy, zdaniem jego, sprawę rewolucji na zatracenie wiedli...

Mówił długo, godzinę całą, a każde słowo jego było jednym wielkim aktem oskarżenia pod adresem Rady Administracyjnej... Nie stawiał wprost sprawy usunięcia jej lecz przygotowywał grunt, usposabiał umysły, ażeby mógł się oprzeć na nich, gdy przyjdzie stanowcza i odpowiednia chwila...

Przemówienie swe zakończył następującymi wnioskami:

„Aby się zgromadzenie uorganizowało i uznało za nieustającą reprezentację ludu warszawskiego, tudzież aby z grona swego wyznaczyło natychmiast deputację, udać się mającą do Rady Administracyjnej dla przedłożenia jej imieniem ludu żądań następujących:

1) aby się Rada Administracyjna natychmiast rozwiązała;

2) aby Rząd Tymczasowy był natychmiast postanowiony;

3) aby generał Chłopiński natychmiast otrzymał rozkaz uderzenia na gwardję Carewicza, wzięcia w niewolę jego samego i oddania w zakład polskiemu ludowi“...

— Albowiem, — kończył swe przemówienie Mochnacki: nie z Konstantym w Warszawie, ale z Petersburgiem w Wilnie układać się należy‘...

Grzmotem oklasków przyjęto to ostatnie oświadczenie, wyrażające w sposób jasny i stanowczy tajemne marzenia wszystkich zebranych, ba, olbrzymiej większości patryjotów polskich...

A za Mochnackim wstępowali na mównicę inni mówcy, a każdy z nich stawiał żądania coraz śmielsze, coraz dalej idące w swej rewolucyjności.

A więc wymowny, dowcipny, zjadliwy, a wielce wśród ludności Starego Miasta popularny adwokat, Józef Kozłowski żądał, aby ministrowie cara Mikołaja, a w ich liczbie i Lubecki pod straż oddani zostali...

Ludwik Nabelak stawiał wniosek, ażeby Rząd Tymczasowy upoważnił obywateli do urządzania powstań w całym kraju...

Za nimi szli inni mówcy, a każdy stawiał nowe warunki, z zapalem przyjmowane przez zebranych... W końcu jeden z mówców zaproponował, aby Rada Administracyjna, jeżeli nie rozwiąże się natychmiast, przyjęła do swego składu kilku członków klubu, których sam klub wybierze...

I ten wniosek przyjęto...

Skończono wreszcie debaty i przystąpiono do wyboru deputacji. Jednogłośnie wybrano do niej obydwoh Mochnackich, Maurycego i ojca jego Bazylego,

Bronikowskiego, Nabelaka, Dunina, Grzymałę, Dobrogojskiego, Szwarcego, Słubickiego i Gaszyńskiego.

Ułożono jeszcze instrukcję dla deputacji, zamkniętą w ośmiu punktach, które brzmiały, jak następuje:

„Towarzystwo patrijotyczne prosi:

1) Aby generał Chłopicki otrzymał rozkaz znieszenia lub rozbrojenia nieprzyjaciela.

2) Obywateli uzbroić.

3) Ministrowie obserwację aby otrzymali.

4) Żony oficerów i urzędników straż, bo są korespondencje.

5) Z w. księciem nie robić układów, lecz z Petersburgiem.

6) Dyrektor poczt oddalony.

7) Dowódcy nie łączący się za zdrajców.

8) Aby natychmiast przystąpiono do wykonania tej petycji.

A jeśli jutro nie zostanie wykonana, kilku członków Towarzystwa Patrijotycznego ma być członkami Rady“...

Wręczono te instrukcje deputacji i delegaci opuścili Sale Redutowe... Za deputacją wysypał się cały klub patrijotyczny, a z klubem połączył się lud uliczny, i olbrzymią, wzburzoną falą popłynął z Placu Kraśińskich do gmachu Banku Polskiego...

Nie przeczuwając nic nowego, nie wiedząc nawet o tem, co się na ulicach miasta, a zwłaszcza w Salach Redutowych działo, zlekceważwszy ostrzeżenia gen. Sierawskiego, słuchali członkowie Rady w skupieniu sprawozdania delegacji do Konstantego, gdy naraz referendarz stanu Grzymała i gen. Sierawski zawiadomili, że delegacja Towarzystwa Patrijotycznego, poparta przez wielotysięczny tłum, zebrany na placu przed Bankiem, domaga się wpuszczenia, celem przedstawienia Radzie żądań klubu.

Wśród członków Rady zapanowała konsternacja.

Większość z nich poczuła, że jednak nie są tak wszechwładni, jak im się wydawało, że oto przybywa upomnieć się o swoje prawa lud, „ulica“, jak pogardliwie nazywali go niektórzy...

Po krótkiej naradzie postanowiono nie przyjmować natrętów, ażeby zaś pozbyć się ich, zdecydowano wyprawić do przyległej sali, gdzie już się delegacja ulokowała, kasztelana Kochanowskiego, ażeby wysłuchał klubistów, umitygował, poczynił do niczego nie zobowiązujące obietnice i odprawił z kwitkiem..

Wyszedł do delegacji Kochanowski, zapytując, czego żądać mogą, lecz nawet z nim mówić nie chciało, domagając się rozmowy z pełną Radą...

Próżno Kochanowski powoływał się na siwe włosy swoje i do opamiętania wzywał niepożądanych gości, próżno przekładał, że rząd nad ważnemi obraduje sprawami...

— Nie masz nic ważniejszego, nad poselstwo nasze, — twierdzili klubiści...

Parli do drzwi do sali, których Kochanowski bronił, jak siwy Cherubin wrót politycznego Edenu...

Wzrastający hałas zwrócił wreszcie uwagę obradujących w sali, i Władysław Ostrowski, chcąc zobaczyć co się dzieje, otworzył drzwi... Skorzystali z tego klubiści, wpadli przez nie natychmiast do sali, ubrani w płaszcze, groźni, zbrojni, w postawie śmiałej i wyzywającej...

Widok tych zuchwalców stropił niewypowiedzianie członków Rady.

— „O Boże! — pisał następnie o tem wtargnięciu deputacji Niemcewicz: ci tylko, co widzieli Robespiera, Dantona, Marata, St. Justa, nie byliby przerażonymi tak wściekłymi postaciami, jakie mieli ci zuchwalczy“...

Porwali się prawie wszyscy z miejsc, z wyjątkiem Mostowskiego i Lubeckiego, który „zuchwalców“ iro-

niczmem mierzył spojrzeniem, — ażeby stawić czoło niespodziewanej napaści. Na twarzach zaskoczonych zmienacka mężów malowało się zmieszanie naprzemian z oburzeniem...

Największe jednak niezadowolenie okazywał Lewel. Wszakżeż to najście było dziełem klubu, którego był prezesem, i wtedy w całej pełni zrozumiał swą tragedję...

Sytuacja była dwuznaczną, a stała się nad wyraz przykrą, gdy po jednym z delegatów, który w słowach układnych i grzecznych zaczął wskazywać niebezpieczeństwo, na jakie Rada Administracyjna swoją chwiejnością naraża kraj cały, — po kapitanie Dobrogójskim, który zwrócił się do ks. Czartoryskiego i w najprzychylniejszych słowach zaklinał go, aby dla ratowania Ojczyzny przedsięwziął kroki stanowcze, — zabrał głos Mochnacki...

Błyskając swemi skośnemi oczkami w stronę Lubbeckiego, w namiętnych słowach zaczął wyrzucać Radzie jej postępowanie. Zapewniał, że ludzie, którzy z narażeniem głów własnych zaczęli rewolucję, upaść jej nie pozwolą...

— Odwołali się oni, — mówił: do ludu stolicy, którzy z bronią w ręku otacza gmach rządowy i nie rozejdzie się dopóty, dopóki żądaniom klubu nie stanie się zadość!...

I cisnąwszy tę groźbę, odczytał przyjęte na posiedzeniu w salach reutowych uchwały...

Czas pewien trwało milczenie, aż wreszcie ks. Czartoryski postanowił uśmierzyć i powściągnąć zapędę deputacji. W słowach uprzejmych i łagodnych starał się jej wytłumaczyć, że niektóre z przedstawionych żądań są niemożliwe do przyjęcia, przedewszystkiem zaś uwięzienie w. księcia, który właśnie oświadczył, że przeciw zbuntowanej stolicy żadnego nie

przedsięwzięcie kroku, a wszystko przyrzeka puścić w niepamięć...

Nie odniosło to jednak żadnego skutku. Odpowiedź Czartoryskiego była iskrą, rzuconą na prochy. Gniew zawrzał w młodej płomiennej duszy Mochnackiego, który czując w sobie i za sobą siłę, wzburzony i porwany gniewem, zawołał z uniesieniem:

— To są żarty, mości książę!... my nie powstaliśmy dla przyjmowania łask i warunków w. księcia, który jest jeńcem rewolucji, ale dla zbawienia Polski. Niechaj tedy rząd nie gra komedji, która się bardzo tragicznie zakończyć może dla powstania, albo dla jego nieprzyjaciół i wątpliwych stronników...

Tu zwrócił się Mochnacki wprost w stronę Lubbeckiego, lecz ten siedział milczący, zimny, obojętny...

Lecz inni członkowie Rady nie posiadali zimnej krwi jego. Wzburzony do głębi Chłopicki zerwał się z miejsca i wybiegł z sali, trzaskając drzwiami... Sędziwy Niemcewicz rozdarł szaty na piersi i wołał:

— Zbrodniarze, którzy przyszlście rząd mordować, ugodźcie najpierw w serce moje!...

Nikt jednak nie myślał go mordować, a mimo ogólnego wzburzenia większość Rady przyszła do wniosku, że należy czempredzej to posłuchanie skończyć...

Więc ks. Czartoryski, a za nim Ostrowski, zaczęli zapewnić delegację, że żądania klubu będą przez rząd wzięte pod uwagę...

Delegacja, jakby przestraszona gwałtownym wybuchem Mochnackiego, wyszła, ażeby odpowiedź Rady zanieść ludowi...

Po wyjściu delegacji przez czas pewien jeszcze trwała konsternacja wśród członków Rady. Wreszcie pierwszy ks. Radziwiłł rzekł:

— Mamy dać sobą rządzić, lepiej ustąpić, ja ustępuję... Groźby nam czynią...

Poparł go Małachowski, składając pismo, w którym oświadczył, że ustępuje.

Lecz na to odrzekł spokojnie Lubecki:

— Albo mamy prawa, albo nie. Prawa zakazują towarzystwa. Towarzystwo zawiązuje się nie tytułem ale aktem. Cóż to za akt podpis dwunastu osób. Nie słuchajmy ich, nie możemy słuchać, a słuchalibyśmy, gdybyśmy ustępując ulegali ich życzeniom; bo oni tego tylko żądają...

Poparł go Kochanowski, Małachowski jednak usiłował bronić swego stanowiska, mówiąc:

— Nietylko w rewolucji, ale i w konstytucyjnym rządzie bez zaufania narodu nie można rządzić...

Odpowiedział mu Niemcewicz:

— A któż to ich za reprezentantów narodu pozwala uważać?...

Lecz tu zabrał głos najreakcyjniejszy z członków Rady, najbardziej zniechęcony przez patrijotów, Fredro, który rzekł:

— Oni pierwsi rewolucję zrobili; ich zdania nie mogą być obojętne...

Wtedy rzekł Dembowski:

— Może być, że wytrwałość nasza przełamie te żądania, może być, że nie. Jeżeli będzie jakiś nowy rząd, działanie będzie wbrew temu, co zaszło dziś między w. księciem a delegacją. Czyliby z tego nie można skorzystać dla sprowadzenia więcej wojska?

— Więc chyba w. księciu powiedzieć, — rzekł na to Lubecki: aby dał wojska, bo i to wszystko żądanie nasze usprawiedliwia...

Sprzeciwił się temu Małachowski, mówiąc:

— Smutne byłoby dla nas samych, abyśmy od w. księcia potrzebowali wojska na naszych...

— Ja może nie wszystkich tu zdania dziele, — zabrał głos ks. Radziwiłł, który nie mógł przeboleć

ataku klubu: ale nigdy despotyzmu nie cierpiałem, nie dozwolę, aby despotyzm klubu brał górę...

Na to Dembowski wtrącił swoją uwagę:

— Uważam, że wojsko jest chwiejące się, możeby więc żądanie klubu skłoniło w. księcia do zezwolenia, aby wojsko słuchało Rady...

Na to wszedł gen. Chłopicki, który zabrawszy głos oświadczył:

— W tej chwili przybył z Sochaczewa ze swoim pułkiem strzelców pieszych gen. Szembek, był u w. księcia, żądał ogólnej amnestji, na którą w. książę nie zezwolił...

Przyjęto do wiadomości to oświadczenie, poczem powrócono do dręczącej wszystkich sprawy odpowiedzi klubowi.

— Klub jest znacznym ułamkiem opinii publicznej, — rzekł Dembowski: nie można więc tego wprost odpychać. Tłumaczyć się nie trzeba, ale coś powiedzieć, wyjaśnić rzecz, wystawić niepodobieństwo żądań.

A wtedy zabrał głos Lelewel, który przez cały ten czas siedział zamyślony, przygnębiony, jakby niepewny, i rzekł:

— Znam niektórych z tego klubu; wczoraj mieli 30, dziś 500.

A gen. Chłopicki, z żołnierską szczerością oświadczył:

— Proszę o kopję adresu klubu, dla zapublikowania wojsku i wystawienia śmieszności pierwszego punktu.

Na to wystąpił Małachowski z zastrzeżeniem:

— Dobrze, ale bez podpisów, żeby nie kompromitować osób...

Uchwalono jeszcze zwołać Senat i kazać sądy otworzyć, gdy gen. Chłopicki wprowadził gen. Szembe-

ka, który, pokrótce, po żołniersku, opowiedział swą bytność u Konstantego, a opowieść swą zakończył słowami:

— Zrobiłem to, co mi obowiązek jako dobremu Polakowi nakazuje, przychodzę łączyć się z wami...

Podziękowała mu Rada gorąco i wysłuchawszy jeszcze projektu odpowiedzi klubowi, złożonego przez Ostrowskiego, z powodu późnej pory zakończyła swe obrady...

Późno w nocy bardzo, nad świtem prawie, pełen rozterki wewnętrznej, nie wiedzący co czynić, co przedsięwziąć, w którą zwrócić się stronę, by ratować Ojczyznę, powracał Leleweł z posiedzenia Rady, która, jak czuł to wyraźnie, straciła grunt pod nogami, zapadała się w nicość....

II.

Świt dn. 3 grudnia zastał całą nieomal Warszawę na ulicach. Krzyżowały się wieści, jedna po drugiej fantastyczniejsze, i o dziwo, po raz pierwszy od wzbuchu rewolucji, radośniejsze...

Ludzie niezajomi zupełnie zatrzymywali się wzajemnie na ulicy, zwiastując sobie te nowiny radosne, ściskając się z nadmiaru uczuć, przepelniających serce, a nad wszystkimi wypadkami, nad wszystkimi zdarzeniami, górowało jedno:

— Wojsko ściąga do Warszawy!...

I powtarzano sobie, jak to gen. Szembek, ściągnawszy ze swymi strzelcami pieszymi z Sochaczewa do Warszawy, udał się do Konstantego z żądaniem amnestji ogólnej, gdy zaś ten wykrętnie kazał mu z pułkiem przybyć do Mokotowa, chcąc w ten sposób wzmocnić swe siły, generał, wróciwszy do swoich wiarusów, kazał orkiestrze grać „Jeszcze Polska nie zgi-

nęła“, i przy dźwiękach mazurka pomaszerował nie do Mokotowa, a do Warszawy...

Sam zaś stanął w nocy przed Radą Administracyjną i oznajmił:

— Zrobiłem, co mi obowiązek, jako dobremu Polakowi i honor nakazuje, przychodzę łączyć się z wami...

A wnet potem nowa wieść radosna:

— Pułk Rybickiego wystąpił z Mszczonowa i ruszył do Warszawy!...

I jeszcze!

— Pułk piechoty Skrzyneckiego z Pułtusza wyruszył do Warszawy!...

I czyż wobec tego można się dziwić radości, wprost szałowi Warszawy?...

Wszakżeż to wojsko, to umiłowanie wszystkich Polaków, porzucało najeżdżąc, wracało do stolicy, łączyło się z rewolucją, dodając jej mocy, utrwalał ją...

Teraz już nikomu nie był groźny Konstanty ze swoimi pułkami rosyjskimi, teraz już rewolucja miała siłę, która na proch zetrzeć mogła wrażą potęgę...

Ten triumf rozplomieniał serca wszystkich, napelniał otuchą i nadzieją, że zwycięstwo jest blizkie, że wreszcie ta upragniona, umiłowana wolność stanie się faktem...

Największe tłumy jednak gromadziły się na placu Krasińskich i ulicach przyległych do Sal Redutowych, gdzie od świtu obradowało Towarzystwo Patryjotyczne...

Posuwające się naprzód wypadki wzmacniały potęgę klubu, podkreślały jego znaczenie i utrwalaly pozycję... Zyskał dotychczas to jedno, że słuchały go masy, że były za nim, gotowe każdej chwili poprzeć jego zamierzenia...

Z entuzjazmem też słuchano w przepelnionej Sali Redutowej przemówień członków klubu, a przedosta-

jące się na ulicę urywki tych mów wywoływały w tłumie podniecenie i zapal.

Zapał ten wzrósł do szczytu, gdy na mównicy stanął prezes klubu, Joachim Lelewel... Okrzykom i oklaskom nie było końca, tak, że długo nie mógł przemówić...

Zmęczonemi, zaczerwienionemi skutkiem bezsen-nych nocy i długich rozmyślań oczyma, wodził po twarzach zebranych, i wszędzie widział wiare i ufność bezgraniczną, jakie w nim pokładano...

W tej chwili czuł wyraźnie, że ten tłum rozgorączkowany uważa go za swego wodza i dyktatora, że wystarczy mu rzucić tylko hasło, rozkaz, huczący jak grom, ażeby te masy zmiotły wszystkich, na przeszkodzie rewolucji stojących, a więc i Radę, by stanęły do walki śmiertelnej i nieubłaganej...

Lecz on w sobie tej mocy nie miał... Chwiejna i słaba natura jego, uczonego, mimo iż władała umysłami i sercami młodzieży i tłumem, nie posiadała drapieżności zdobywcy, energii czynu, lękała się walki, cofała się przed okrucieństwami z nią połączonemi, a przedewszystkiem lękała się porażki, któraby klęskę straszliwą i upadek sprawy przynieść mogła...

I mimo, że czuł jednak z tą młodzieżą, z tym tłumem, mimo że wiedział, że ten poryw rewolucyjny wzięła ona z ducha jego, czuł, że w nim się coś łamie, przeistacza, że nigdy nie zdobędzie się na czyn, do którego jednak wzywał i nawoływał...

A jednocześnie uczuwał na sobie pęta obowiązków, jakie włożyła na niego godność członka Rady, i zaprawdę, nie wiedział, którą mu drogą iść należy, czy drogą stłumienia rewolucji i wytargowania od cara najkorzystniejszych warunków, na jaką wkroczyła Rada Administracyjna, czy drogą nieubłaganej walki rewolucyjnej o wolność, walki, prowadzącej do śmier-

ci lub zwycięstwa, na którą wepchnąć chciał naród klub!...

Czyż miał wreszcie dopuścić do wybuchu gniewu ludowego, rozdmuchać płomień rewolucji, któreby zmiotły z powierzchni ziemi i spopieliły tę władzę, której on cząstkę stanowił.

Szarpany temi sprzecznemi uczuciami, stał na mównicy, a gdy tłum uspokoił się, przemawiać zaczął...

Lecz próżno w słowach jego szukano tonów rewolucyjnych, podżegających, jakimi rozbrzmiewały przemówienia innych, próżno nawet szukano mocy i potęgi dawnych jego przemówień i pism... Mówił teraz, jako członek Rady, usprawiedliwiał jej postępowanie, wzywając do umiarkowania, do spokoju, do powstrzymania się od gwałtów, do spokojnego oczekiwania na rozwój dalszych wypadków...

Mowa jego sprawiła wszystkim rozczarowanie... Toć przed tym tłumem ludu nie stał już dawny trybun jego, gorący rzecznik wolności, — był to już tylko członek rządu, który do utrzymania go dążył za wszelką cenę...

Zgasł też pod wpływem mowy jego zapał, zniknął gdzieś entuzjazm, i tylko powadze nazwiska swego i przeszłości zawdzięczał, że nikt nie ośmielił się wystąpić ostro przeciwko niemu, wysświetlić dwuznaczność jego postępowania, targnąć się na jego powagę...

Przykre milczenie nastąpiło po przemówieniu jego, nie wiedziano co począć, gdy naraz nowy wypadek odwrócił od niego uwagę tłumem...

Na ulicy rozbrzmiewały gorące wiwaty... To lud witał tak generała Szembeka, który przyszedł na posiedzenie klubu...

Porwano go na ręce i wniesiono do sali obrad, lecz tłumy, stojące na ulicy, krzyczały w dalszym ciągu, w szale radości domagając się, że pragną widzieć i

słyszeć generała... Nie dziwota przecież — był to bowiem pierwszy z generałów, który w sposób otwarty stawał po stronie rewolucji...

A gdy domagania te i krzyki rosły i potężniały, porwano go znów na ręce i wyniesiono z sali... A za nim podążyło całe zgromadzenie, przenosząc w ten sposób obrady klubu na ulicę...

Nieśli tak rozentuzjazzowani generała, szukając miejsca, z którego mógłby przemawiać, gdy naraz spostrzeżono stojący na środku placu wóz drabinia-
sty... Postawiono na nim gen. Szembeka, który przemówił krótkimi słowy, witając lud i rewolucję, wzniósł pełen zapału okrzyk na cześć wolności, po-
czem zawołał:

— Obywatele!... brygada moja za chwilę wkroczy do miasta, ażeby połączyć się z wami!...

— Niech żyje Szembek! — ryknęły w odpowiedzi tysiączne głosy i zlały się w jeden długo niemilkący okrzyk entuzjazmu...

Zszedł gen. Szembek z wozu, a gdy tłum uciszył się cokolwiek, ukazywać się na wozie poczęli coraz inni mówcy, w płomiennych słowach występujący przeciwko Radzie Administracyjnej, domagający się jej zniesienia...

Lud z zapalem przyjmował te wywody, domagając się ustanowienia Rządu rewolucyjnego... Podniecone zapalnymi słowy rosły namietności, potężniały, tak, że zdawało się nic już uratować Rady Administracyjnej nie zdoła, że jednym szalonym porywem tłumowi zmieniona zostanie z powierzchni ziemi...

Lecz nad wszystkim czuwał mądry, przewidujący i dyplomatyczny rozum Lubeckiego...

Poinformowany dokładnie o przebiegu narad na placu Krasieńskich, zwołał natychmiast posiedzenie Rady Administracyjnej i postawił wniosek stworzenia

pozoru, że Rada ulega żądaniom klubu, a to przez za-
wezwanie do zasiadania w niej członków klubu...

Krótko zastanawiano się nad nazwiskami kandydatów, i w chwilę potem specjalnie wybrany, a największą jeszcze popularnością wśród tłumów cieszący się członek Rady, Władysław Ostrowski, podążył na plac Krasieńskich...

Wzburzenie tłumy przeciwko Radzie doszło już do najwyższego stopnia, gdy na wyżynach wozu drabinia-
niastego ukazał się członek tejże znieawidzonej Rady, Władysław Ostrowski, i oświadczył, że chce przemawiać!

Uciszył się tłum, a wtedy głosem donośnym oznajmił:

— Rada Administracyjna, zgodnie z wyrażeniami wczoraj przez usta delegatów Towarzystwa Patrio-
tycznego żądaniami ludu, wzywa do zasiadania w swem gronie czterech członków klubu...

I wnet potem wymienił nazwiska:

— Panów: Machnickiego, Bronikowskiego, Moch-
nackiego i Plichtę...

W milczeniu przyjął tłum do wiadomości to speł-
nienie życzeń jego, lecz cel, zamierzony przez Lube-
ckiego, osiągnięty został... W jednej chwili opadła fala
nienawiści tłumy, który nie zdawał sobie sprawy, że
w ten sposób klub, biorąc udział w rządzie, przez zrę-
czny manewr pozbawiony został swej siły...

Lecz tłum nie miał czasu długo zastanawiać się nad
tem... Z oddali dobiegały dźwięki mazurka! Dąbrow-
skiego, przy którym wkraczał do miasta pułk Szem-
beka, witany szalonymi okrzykami...

A jednocześnie rzuconą została nowa wieść, która
lotem ptaka obiegła całe miasto... Wieść ta głosiła, że
w książę przemocą i groźbą zatrzymuje pułki polskie,
które pragną połączyć się z braćmi w Warszawie...

Porwany tą wiadomością, rozgorączkowany tłum

podążył znów na plac Bankowy, gwałtem próbując wtargnąć do siedziby rządu. Warty z największą trudnością broniły wejścia, wpuszczając tylko osoby znane, lub po kilku deputowanych od tłumy za pozwoleniem rządu...

Nie wystarczyło to tłumowi, który burzył się coraz bardziej, gdy naraz ktoś krzyknął:

— Bracia, idziemy do Mokotowa by odbić żołnierzy!...

I krzyk ten stał się naraz hasłem Warszawy, gromem przeleciał po wszystkich jej ulicach i placach...

Z okrzykiem tym, jak hucząca fala, rozszalały kilkunastotysięczny tłum, pomknął ku rogatkom moko-towskim, by runąć na obóz Konstantego...

Porywowi temu nie mógł się oprzeć pułk Szembeka i podążył za tłumem...

A wtedy, wobec groźnej sytuacji, by nie dopuścić do starcia, gen. Chłopicki i Szembek dosiedli koni i stanęli na czele wojska, parci przez nie i lud naprzód..

Znikło wszelkie posłuszeństwo i subordynacja, żadna moc ludzka nie mogłaby już powstrzymać tego potoku żywego, prącego z żywiołową siłą naprzód i porywającego z sobą wszystko po drodze...

W poczuciu swej bezsilności, Chłopicki zrywał się i kłął, ale popychany zewsząd jechał na czele wojska błady z gniewu, a posępny jak noc..

Na placu Trzech Krzyży spotkał Władysława hr. Zamoyskiego, dążącego do Konstantego z pismem od Rady...

Wysłał go Lubecki, który zorjentowawszy się błyskawicznie w sytuacji, zawiadamiał Konstantego, że wobec biegu wypadków rząd jest bezsilny, że nie może utrzymać i wykonać konwencji, zawartej w Wierzbnie, i że w. księciu pozostaje do wyboru: albo się podać, albo natychmiast się z wojskiem oddalić.

Zatrzymał na chwilę Chłopicki Zamoyskiego i

rzekł mu, aby się śpieszył, bo niema chwili do stracenia. Poczem spojrzawszy na zegarek, dodał:

— Powiedz w. księciu „na zachętę“, że do dwunastej zatrzymam ruch miasta ku niemu. Za więcej nie ręczę. Co się potem stanie, tego nikt nie obliczy...

Mknął naprzód tłum rozszalały, gotów do wszelkich czynów, jakie mu rozpacz i zapal podyktować mogły... Wkroczone już w Aleje Ujazdowskie, gdy naraz z oddali, od strony rogatek moko-towskich, od strony, gdzie znajdował się obóz wraży, rozległy się umiłowane, tak drogie sercu każdego dźwięki mazurka Dąbrowskiego...

Tłum zatrzymał się w miejscu, zamarł... A tam w oddali ukazały się konne szeregi strzelców z barwnymi proporczykami przy lancach, a za nimi długim wężem szeregi piechoty...

Nie czekając na zezwolenie Konstantego, porzuciło wojsko polskie jego obóz, dążąc do stolicy dla połączenia się z braćmi, ratując go w ten sposób od zagłady w straszliwej walce...

Chwila pełnego zdumienia i nieśmiałej radości milczenia, i wnet potem tłum, jak burzliwy potok, z okrzykami i płaczem szczęścia rzucił się na spotkanie powracających...

Zapanowała chwila trudna do opisanania... Okrzyki radosne tłumy łączyły się z biciem w bębny i grzmącą muzyką wojskową, biegnąc hen, w dal, do oczekującego z niepokojem na wynik spodziewanego starcia miasta...

Dobiegła i tam wreszcie wieść radosna, i wnet wszystkie balkony, a zwłaszcza przy Nowym Świecie i Krakowskiem Przedmieściu, przyozdobiły się ko-biercami i zapełniły tłumem kobiet i dzieci, z niecierpliwością oczekujących na ukazanie się umiłowanego wojska...

Warszawa szalała, szalała z radości, gdyż odzyski-

wała nareszcie to, co ukochała najgoręcej, co dumą jej i chwałą było, odzyskiwała umiłowane wojsko polskie...

Zda się, że wśród surowej zimy, wiosna rozkwitła w stolicy, pojawiły się, Bóg jeden wie skąd, całe naręcza kwiatów i zieleni, któremi wieńczono dumnie wzniesione do góry sztandary, zasypywano oficerów i szeregowców...

Chłopicki z Szembekiem jechali na czele powracających, witani okrzykami: „Niech żyje Chłopicki!“ „Niech żyje Szembek!“ i trzecim najpotężniejszym „Niech żyje wojsko polskie!“...

Okrzyki te były tak potężne, że zagłuszały chwilaми dźwięki orkiestr, wygrywających melodie narodowe... Entuzjizm tłumu był tak wielki, że każdy uważał za swój obowiązek wdrzeć się do szeregów by tylko uściskać walecznych obrońców...

A gdy na konsulacie Francuskim ujrzano zatkniętą chorągiew trójkolorową, gdy rozeszła się wieść, że należy się spodziewać rychłej pomocy ze strony Francji, do poprzednich okrzyków dołączył się jeszcze jeden, niemniej potężny: „Niech żyje Francja!“

A pośród tej fali głów, upojonych szałem radości, rozpalonych patriotyzmem, podążały dwie postacie przygnębione, ponure, z wzrokiem utkwionym w ziemię... Byli to gen. Kurnatowski i Wincenty Krasiński, którzy do ostatniej chwili wiernie przy Konstantym stali i głośno potępiali wybuch rewolucji, a teraz zdecydowali się powrócić do Warszawy...

Przez całą drogę, gdy tylko lud ich spostrzegł, towarzyszyły im złorzeczenia i obelżywe wykrzyki, a gdy stanęli przed Bankiem Polskim, podniecony tłum rzucił się na nich, ściągnął z koni, a nad głowami ich wzniosły się szable i bagnety, by ich rozsiekać...

Lecz na pomoc zagrożonym rzucili się Chłopicki

i Szembek, zasłoniłi piersiami własnymi i z największym trudem od śmierci uratować zdołali...

Gdyby nie ich pomoc, bruk Warszawy znów by się zboczył krwią bratnią...

Ocalonych cudem niemal generałów wprowadzono do sali Rady, gdzie Lubecki zdał im sprawę z tego, co się stało, i z położenia kraju, gdy naraz wszedł generał Szembek, który pozostał wśród tłumu, i oświadczył:

— Tłumy ludu żądały wydania sobie, a przynajmniej oddalenia się generałów Wincentego Krasińskiego i Kurnatowskiego. Zaledwie zdołałem ich uspokoić, ale, mojem zdaniem, panowie generałowie, dla dogodzenia życzeniom ludu, winni złożyć przysięgę na chorągiew, że przeciwko ludowi walczyć nie będą...

— Jesteśmy gotowi złożyć tę przysięgę, — oświadczyli generałowie...

Wszedł wtedy prof. Lach Szyrma z dwoma akademikami, niosącymi sztandar, i wszyscy wyszli na balkon przy sali obrad, wychodzący na Plac Bankowy.

Na ich widok wśród hałasującego tłumu zapanowała cisza i generał Wincenty Krasiński, złożywszy dłoń na sztandarze, uroczystym głosem mówić zaczął:

— Ja, generał Wincenty Krasiński, przysięgam na tę narodową i na tę akademicką chorągiew, że przeciwko narodowi polskiemu ani otwarcie, ani skrycie działać nie będę i honorem to zapewniam...

A po złożeniu przysięgi zwrócił się do ludu i przemówił:

— Służę 50 lat Ojczyźnie; honor imienia polskiego zagranicą roznosiłem; powróciwszy, starałem się ile możliwości zawsze dobrze robić!...

Przerwał mu okrzyki: vivat Krasiński! — zagłu-

szone jednak rychło przez inne, liczniejsze: a sąd sejmowy!... a sąd sejmowy!...

— Kiedy nie mam ufnosci, — zakończył Krasiński: — oświadczam, iż żadnego dowództwa nie przyjmę, dopóki teraz osobiście na tę ufnosc nie zasłuże...

Wybuchły teraz znów okrzyki, które gen. Szembek przemówieniem swoim z trudnością uspokoił.

Następnie złożył przysięgę gen. Kurnatowski, który po niej przemówił do ludu:

— Całe życie byłem i będę dobrym Polakiem; pierwiej umrzeć, niż przestać nim być. Powiedziało mi z 50 osób, abym nie wchodził do Warszawy, bo mnie zabiją. Gardzę śmiercią, stanąłem na czele wojska i dopełniłem powinności mojej...

Po złożeniu przysięgi, każdy z generałów uściskał Szymę, który przysięgę odbierał i obydwóch akademików, chorągiew trzymających.

Gen. Szembek przemówił do tłumy, wzywając do utrzymania porządku, a lud głośniei okrzykami wyraził mu przywiązanie swoje.

Wrócono do sali, a gdy wszyscy zajęli miejsca, ks. Lubecki rzekł:

— Czy dobrze lub źle, że insurekcja zrobioną została, to dopiero skutek okaże; ale zrobioną została i cofnąć jej nie można, przeto teraz wszystko przedsięwziąć i uczynić należy, aby ona na naszą korzyść poszła. Pierwszym krokiem z naszej strony powinna być negocjacja. Przez nią powinniśmy starać się otrzymać to, cośmy zamierzeli, t. j. przyłączenie prowincji polskich do Królestwa i ścisłe zachowanie konstytucji, a jeżeli to dane nam będzie, poprzestać na tem należy, bo wtenczas pod jednym berłem z caratem rosyjskim, będziemy niepodległym państwem, lecz jeżeli cesarz tych propozycji nie przyjmie, natenczas do wojny przyjść musi, wszyscy więc do niej stanąć powinniśmy i wojna to będzie na śmierć lub życie.

Takie będzie postępowanie rządu. Oświadczamy to panom i teraz trzeba, abyście wy nas zawiadomili, czy podzielacie zdanie rządu i czy gotowi jesteście stanąć do wojny i do końca wiernie narodowi słuchać?...

A wtedy odpowiedział na to gen. Kurnatowski szczerze i otwarcie:

— Jestem Polakiem, kocham Ojczyznę, lecz okoliczności w tem położeniu mnie postawiły, że w wojnie przeciw cesarzowi czynnego udziału wziąć nie mogę...

Do jego oświadczenia przyłączył się gen. Wincenty Krasiński.

Trzeci z generałów, Żymirski, oświadczył:

— Jestem Polakiem i tam pójdę, gdzie naród i wojsko będzie, i jeżeli przyjdzie do wojny, czynem dowiodę, ile Ojczyźnie wiernym być umiem.

Po tej deklaracji gen. Kurnatowski i Krasiński złożyli podanie o dymisję, którą otrzymali...

A tymczasem Warszawa szalała w dalszym ciągu. Na ścianach domów pojawiły się plakaty z napisem: „Witaj jutrzeńko swobody“... Wieczorem stolica zapłonęła od ogni biwaków wojskowych i iluminacji, miasto miało postać czarującą, radość przepełniała serca, lud bratał się z wojskiem, powstanie triumfowało, ale triumf jego był zarazem wyrokiem śmierci dla Rady Administracyjnej.

Podczas gdy Warszawa, odzyskując swe wojska, szalała z radości, drogą do Góry wlokły się powoli wojska rosyjskie, dążąc do granicy rosyjskiej. Na samym prawie końcu, pogrążony w smętnych rozmyślaniach jechał sam w. książę Konstanty, z małżonką, ks. Łowicką...

Żał mu było opuszczać stolicę, w której czuł się królem i władcą, żał mu było przedewszystkiem porzucać to cudne wojsko polskie, które kochał szcze-

rze, choć na swój sposób, a które dumą całego jego życia było...

Lecz mimo wszystkich trosk i kłopotów nie zapomniał o dzikiej zemście... Przy jednej z armat, przykuty do niej łańcuchami, włókł się wyciągnięty z ciemnicy więziennej w zgrzebne łachmany przyodziany, major Walerjan Łukasiński...

W szale radości z odzyskanej wolności zapomnieli o nim rodacy, nikt się o niego nie upomniał, a teraz dziki mściwy satrapa włókł go za sobą, aby na długie, powolne męki konania do lochów fortecy Szlisselburskiej wtrącić...

Z bólem na wychudłym obliczu, lecz z sercem bijącym radością, że naród nareszcie zrzucił pęta niewoli, że stanął do walki o swą wolność, że spełniło się choć dla Polski marzenie życia jego, że wróg z niej ze sromotą uchodził, — szedł krokiem wolnym, ciężkim, na mękę, na zatracenie, gotów zawsze krwią swoją ofiarną okupić wyzwolenie umęczonej Ojczyzny...

III.

Triumf Mochnackiego był klęską i przegraną Rady Administracyjnej...

Przeczul to Lubecki i postanowił czemprowadzić wycofać się z Rady, podając się do dymisji, a w ślady jego wnet poszedł Sobolewski.

Wtedy Rada, stosownie do życzenia klubistów, przemieniła się w Rząd Tymczasowy, w którym zasiadali: ks. Czartoryski, kasztelan Kochanowski, Pac, Dembowski, Niemcewicz, Lelewel i Władysław Ostrowski...

Lecz ukrytym kierownikiem i główną sprężyną tego rządu pozostał Lubecki...

Mówiła o tem wyraźnie ogłoszona natychmiast o-

dezwa, przepojona duchem polityki Lubeckiego, a która w dalszym ciągu uznając Mikołaja za króla, wzywała równocześnie Sejm na dzień 18 grudnia, oraz powoływała pod broń wszystkich dymisjonowanych oficerów i żołnierzy i urzędowała „straż bezpieczeństwa“ z całej ludności męskiej od 18 do 45 roku życia...

Przeczul to i Mochnacki, który tejże nocy, w długiej z Lubeckim rozmowie, ostro zwalczał jego poglądy, nie kryjąc się zupełnie, jak to następnie oświadczył Lubecki, z zamiarem powieszenia go...

Ci dwaj ludzie, o jednakowo genialnych umysłach, lecz stojący przekonaniowo na dwóch przeciwnych biegunach, nie mogący znaleźć wspólnej drogi do jednego celu — wolności i szczęścia Ojczyzny, którą jednakowo gorąco kochali, — musieli walczyć z sobą, nie mogąc być przyjaciółmi, — musieli być wrogami...

Nie zadowolilo też Mochnackiego ustanowienie Rządu Tymczasowego, z którego listy zniknął generał Chłopicki, bożyszczce wojska i ulubieniec tłumów...

Pozostawał tylko wodzem naczelnym, jakim mianowała go Rada Administracyjna.

W tem coś się kryło... Musiało to być jedno z nowych a genialnych posunięć Lubeckiego...

Ale jakie?...

I naraz nowa myśl błyskawicą olśniła mózg jego... Tak... Na Boga... Tak będzie...

Przewidujący umysł Lubeckiego wysuwał Chłopickiego na miejsce naczelnego... Od czasu pewnego przy nazwisku jego coraz częściej powtarzało się słowo „Dyktator“.

Rząd był „tymczasowy“, był tylko przejściem, jakby mostem do dyktatury, którą miał objąć, przeznaczony na to stanowisko przez Lubeckiego, Chłopickiego...

Przebóg!... A jakież stanowisko wobec rewolucji zajmował Chłopicki?... Jak się zachował w pierwszych

dniach jej wybuchu?... Obelgami zarzucał jej twórców, bronił oficerów rosyjskich, pozwolił na ucieczkę Konstantego... uważał cały wybuch za nieszczęście!...

Przebóg!... Chłopicki — dyktator silną ręką ujmie cugle rewolucji i zdławi ją, zdusi, powstrzyma jej pęd żywiołowy naprzód, do słońca wolności!...

I nikt mu w tem nie przeszkodzi, nikt mu się nie oprze, gdyż otaczał go nimb bohaterstwa, miłość i uznanie ulicy, która ślepo, bezkrytycznie patrzyła na niego, porwana urokiem nazwiska, nie wnikając w czyny jego!...

Młodzież akademicka, rozgłaszając czyny wojenne jego w Hiszpanji, rozgłaszając, że opuścił szeregi wojska, nie chcąc służyć pod rozkazami Konstantego, tworzyła z niego legendę, a Mochnacki widział dobrze, jak trudno jest walczyć z legendami!...

Przejrzawszy też misterną grę Lubeckiego, przeczuwszy niebezpieczeństwo, grożące rewolucji ze strony Chłopickiego, postanowił walczyć, przeciwdziałać za całej mocy, byle tylko nie dopuścić do zaprzepaszczania zdobytych dni ostatnich, do zatyraty rewolucji, do powrotu do dawnego stanu rzeczy!...

Jedną miał przed sobą drogę, jedno zadanie — strącenie z piedestału Chłopickiego, obalenie Rządu Tymczasowego, a przejęcie władzy przez ludzi szczerze sprawie oddanych!...

Zdawał sobie sprawę zupełnie jasno, że czeka go ciężka walka, że wygrana trudną wielce będzie, lecz ufał w swą gwiazdę, ufał w siłę klubu, w moc opinji ulicy, którą, jak sądził miał za sobą!...

Wszakże to przy ich pomocy obalił Radę Administracyjną i Lubeckiego, i teraz zatem powodzenie towarzyszyć mu będzie i pokona ostatni wysiłek reakcji, związanej z osobą Chłopickiego!...

Pewien zwycięstwa, zaślepiony oczekującą go wal-

ką, zapomniał jednak o tem, że Lubecki czuwał, że przewidującym umysłem zdołał przejrzeć wszystkie zamiary jego i zarządził wszystko, ażeby je sparaliżować, ażeby zaciętemu przeciwnikowi cios ostatni, śmiertelny, w tej walce o wpływy zadać!...

Pochłonięty jedną tylko myślą, opanowany żądzą ostatecznego zwycięstwa, zwołał Mochnacki w dn. 4 grudnia posiedzenie klubu w salach Redutowych!...

Sala wypełniła się szczelnie, a gdy na stole, zastępującym trybunę, ukazał się Mochnacki, powitały go huczne oklaski!...

Stał, napozór spokojny, opanowany, błyszczącemi oczyma mierząc ten tłum, który za chwilę wymową swoją, potęgą argumentacji, miał porwać, doprowadzić do wrzenia, do walki ostatniej, zwycięskiej rzuć!...

Gdy się uciszyło, zaczął mówić... mówił zrazu głosem spokojnym opanowanym, atakując ostro Rząd Tymczasowy, wytykając błędy jego, a w miarę słów unosił się, zapalał, wreszcie grzmieć począł:

— Ludzie, znani z liberalizmu, — wołał: weszli w otwarte przymierze z nieprzyjacielem kraju!... Nie ufajmy imionom historycznym, nie ufajmy żadnej wziętości, żadnej zasłudze!... Chłopicki nie dopełnił swego obowiązku!... Mości panowie, Chłopicki zdradza rewolucję!... przyszedłem tu oświadczyć wam, że usuwam się od władzy, która naród stawia nad przepaścią!... Dokończmy to, cośmy zaczęli, idźmy znowu na rząd, idźmy wszyscy razem z bronią w rękę, rozpuśćmy teraźniejszy rząd i ustanówmy rząd rewolucyjny!...

Tu stała się rzecz, której Mochnacki nigdy nie oczekiwał, nie spodziewał się!... rzecz straszna, pełna grozy dla niego!...

Wybuchła nagle w sali wrzawa, rozległy się ze

wszech stron gwizdania, syki, tupanie nogami, szcęk szabel i krzyki:

— Precz z nim!... Precz z nim!... — i przerwały mowę jego...

Urwał i roszerzonymi ze zdumienia oczyma wpatrywał się w szalejący z oburzenia tłum, czując, jak go ogarnia lodowate tchnienie śmierci, jak ten wybuch, zda się żywiołowy, tłum, kładzie kres marzeniom jego, grzebie nadzieje dalszego przeprowadzenia rewolucji po drodze, jaką on jej zakreślił...

Stał, nie rozumiejąc zrazu, co się z oddanym i posłusznym mu do czasu tego klubem stało... Hałas w sali rósł, potężniał, w stronę jego wyciągały się setki groźnie zaciśniętych pięści, coraz częściej powtarzała się groźba śmierci, a żaden głos w ogólnym tumultcie nie odezwał się w obronie jego... Przyjaciele jego stchórzyli, ulekli się groźb, cofnęli się, lub też wraz z tłumem dzielili oburzenie, wywołane dotknięciem bożyszczka jego...

I naraz Mochnacki, patrząc w ziejące nienawiścią twarze otaczających go ludzi, przejrzał i zrozumiał wszystko... To zwyciężał Lubecki, zwyciężała przenikliwość i rozum jego... To on, przewidując wszystko, nasłał do sali, do której wstęp dla każdego bez ograniczenia był otwarty, stronników swoich i bliskich, by nie dopuścić do zwycięstwa jego, Mochnackiego... Spostrzegł, że ma wokoło siebie nie, jak zwykle, przyjaciół, ale wrogów zaciętych, wrogów nieubłaganych, i zawrzało w nim wszystko...

Chciał mówić, mówić za wszelką cenę, byle przekonać ten tłum bezmyślny o słuszności swych zarzutów, nakłonić go do posłuchu i poparcia zamierzeń swoich...

Z wyżyn stołu, służącego za trybunę, przemawiał właśnie Albert Grzymała... Dowodził on w kwiecistych słowach, że ustąpienie Kontantego tylko korzyść

krajowi przynieść może, że zliberalizuje Rosję i zjedna w niej stronników Polsce...

Tłum przytakiwał mówcy, który roztaczał przed nim obrazy uspokajające, oddalające groźne widmo rewolucji i walki...

Porwał się Mochnacki, by zaprzeczyć temu, przerwał Grzymale, chciał mówić, lecz rozległy się wnet okrzyki:

— Precz!... fora!... — niedopuszczające do głosu...

Po Grzymale wszedł na stół mecenas Wojciech Wołowski, cieszący się wśród tłumy znaczną popularnością, i pięknymi, pełnymi czułości i sentymentu słowami, niżąc je, jak paciorki, w okrągłe zdania, przemawiać począł o jedności i zgodzie, które zawsze u najniezgodniejszego w świecie, jak Polacy, narodu, posłuch znajdują, poczem wystawiając w oględnych słowach Mochnackiego, jako odpychającego tę jedność, jako warchołę, myślącego tylko o własnym wyniesieniu, przeciwstawić mu zaczął osiwiłego w bojach generała, męża zasłużonego ojczyźnie, bohatera, Chłopickiego...

Na zakończenie zapewnił uroczyście, że rząd działa rewolucyjnie, poczem zwrócił się do viceprezesa klubu i przyjaciela Mochnackiego, Bronikowskiego, z zapytaniem:

— Niech nam sam wiceprezes klubu, pan Bronikowski, powie, co na rządzie słyszał i widział, i czy rząd działa rewolucyjnie lub nie?...

I wnet rozbrzmiały rozliczne głosy z tłumy, wzywające Bronikowskiego by przemawiał, by dał świadectwo prawdzie.

W Mochnackim, nie wyrzekającym się jeszcze nadziei zwycięstwa, zbudziła się otucha... Wszakżeż ten wierny druh i powiernik, jednomyślnie zapatrujący się z nim na wszystkie sprawy, nie opuści go, stanie

przy jego boku, poprze go i nie dopuści, by runął pod ciosem, jaki wymierzył w niego Lubecki... Nie dopuści też do tego, by rewolucja upadła, by wysiłek krwawy tych dni został zmarnowany.

Bronikowski, który dopiero co przybył z Banku, gdzie był obecny na naradach rządu, precyzyjnie się do stołu, i nie wiedząc dobrze, o co rzecz idzie, naprędce poinformowany o przebiegu obrad, wszedł na stół i mówić począł...

Lecz w miarę słów jego, coraz cięższy zawód odbijał się na twarzy Mochnackiego...

Bronikowski, miast bronić go, miast stanąć po jego stronie, pozostawał jeszcze pod wrażeniem następujących słów Lubeckiego, ogłoszonych na posiedzeniu rządu:

— Czy dobrze, czy źle będzie dla Polski, że rewolucja wybuchnęła, to skutek pokaże; ale kiedy już tego, co się stało, cofnąć nie można, powinniśmy, jako Polacy, starać się, aby rewolucja zwyciężyła. Mamy wojsko, pieniądze, gubernje polskie, sprzyjające powstaniu, mamy za sobą wiele nadziei zagranicznej pomocy; nie powinniśmy więc rąk opuszczać, ale działać. W rewolucji nadewszystko, trzeba działać szybko, zatrzymywać się w niej, jest to samo, co się cofać. Powinniśmy iść naprzód, Litwa, Wołyń, Podole, Ukraina powinny być teatrem naszych działań; Królestwo Polskie powinno być naszą rezerwą i dostarczać innym prowincjom broni, instruktorów, pieniędzy, ludzi... Jedna bitwa wygrana może nas zaprowadzić dalej, niż się spodziewać możemy; ale nadewszystko potrzeba nam rządu energicznego i szczerych chęci...

Czyż mogła być więc mowa bardziej rewolucyjną od tej?... Czyż najbardziej nawet zapamiętały re-

wolucjonista mógłby zamknąć swój program w słowach bardziej prostych i wyraźnych?...

Przekonały one też Bronikowskiego, który uwierzył w Lubeckiego i gotów był bronić go zapamiętanie...

Nie dziwota też, że z ust jego miast słów potępienia, miast poparcia wezwania Mochnackiego do walki, padły słowa usprawiedliwiające rząd, ba, popierające rząd, a stwierdzające niezłomnie jedno: rząd działa rewolucyjnie...

Mowę swą zakończył Bronikowski słowami:

— Wszystko, co rząd dziś zrobił, jest zbrodnią przeciw cesarzowi. Jakie są dalsze intencje rządu, o tem będziemy mogli sądzić w przyszłych jego działaniach, ale podług mnie, należy mu zostawić czas do ich rozwinięcia... Słowa przez Lubeckiego do tych dwóch generałów były wobec księcia Czartoryskiego, Niemcewicza, Paca i naszego prezesa Lelewela wyrzuczone. Osądźcie sami, czy ci mężowie dozwolą w czynach zadać kłamstwo samym sobie?... Czyż ci, którzy takie zasady wygłaszają, mogą być zdrajcami Ojczyzny?...

Szał istny zapanował po przemówieniu Bronikowskiego... Tłum krzyczał w uniesieniu, wiwatując na cześć rządu i potępiając tych, co warcholstwem szkodę narodowi przynieść mogą...

Burza szalała w duszy Mochnackiego, gdy słuchał słów Bronikowskiego... A więc i tego, najwierniejszego, jak myślał, przyjaciela i powiernika jego, przekonać i na swoją stronę przeciągnąć zdołali...

Ogarnięty szałem, wyrwał karabin z rąk najbliższego stojącego żołnierza i przemocą wdarł się na trybunę, by przemawiać, by gorącymi słowami przekonywać ten tłum obalamucony, by bronić już nie siebie ale sprawę, której zagładę przeczuwał...

Napróżno jednak...

Szalejący tłum nie dopuścił do głosu wczorajszego ulubieńca ulicy.

Nieustraszonego, pewien słuszności swych zarzutów Mochnacki, chciał się bronić, lecz nie miał już władzy nad wzburzeniem, które ogarnęło tłum...

Nadeszła chwila krytyczna a groźna... Z wrzaskiem..

— Oszczyerca!... Terorysta!... Robespierre polski!... — rzucono się na niego..

Nigdy śmierć nie była bliżej Mochnackiego, jak wtedy, gdy oficerowie, przysłani przez Lubeckiego, z wydobytemi szablami torowali sobie drogę ku mównicy, gdy akademicy z pod sztandarów prof. Lach Szyrmy, pogasiwszy światło, wywróciwszy stół, krzyczeli:

— Precz z klubistami!... klub nie potrzebny, niech przepadną zapaleńcy!...

Ku nieszczęsnemu Mochnackiemu, wśród piekielnego ryku, w ciemnościach, wyciągały się czyjeś ręce, szarpały go, zimne ostrze bagnetu, jak wąż, dotknęło jego piersi... Zdawało się, że zguba jego jest nieuchronną, że śmierć lada chwila porwie go w kościste szpony, gdy przez rozwścieczony tłum przedarła się ku niemu grupa przyjaciół, otoczyła go, porwała, i torując sobie drogę pięściami, wyprowadziła go bocznymi drzwiami na dziedziniec...

Był ocalony... lecz Bóg jeden wie, czy nie wolałby raczej zginąć w tej chwili straszliwej... Czy śmierć nie byłaby dla niego droższą od rozpacz, w jaką popadł, widząc upadek swych marzeń, dążeń, sprawy, o którą walczył... Znieważony, pobity, zdeptyany moralnie i fizycznie, cudem prawie wyrwany z objęć śmierci, której groźba dźwięczała mu jeszcze w uszach, pomny obelg gawiedzi, obrzucającej go błotem i jadem, snuł już plan nowy, plan zuchwały, który miał mu dawny wpływ przywrócić, a przedewszyst-

kiem miał mu dać pomstę na zniechęconym wrogu — Lubeckim...

Winił go o wszystko, na każdym kroku spotykał jego zimne, pełne wyrachowania posunięcia, godzące w niego, ściągające go z piedestału i wciskające w błoto pogardy...

Lubecki!..

Na samo wspomnienie nazwiska tego potężniała zawziętość jego i gniew głuchy go dławił... Postanowił dać mu odpowiedź godną siebie i zmierzyć się z nim poraz ostatni...

Blizkim był tego, gdy na drodze swej spotkał Wysockiego, i to go zgubiło...

IV.

Nocy tej Mochnacki nie spał wcale... Powróciwszy do domu późno bardzo, nie odpowiadając ani słowem na pełne troski i współczucia zapytania matki i sióstr, zamknął się w swoim gabinecie, i wyciągnięty na kołniercu, wpatrzony płonącymi gorączką oczyma w pełgający na kominku ogień, rozmyślał...

A w uszach jego, jak syk złowrogi, wciąż jeszcze brzmiały pełne nienawiści okrzyki: zdrada!... terorysta!... On — i zdrada, on, któryby chętnie życie swe oddał dla Ojczyzny, napiętnowany mianem zdrajcy przez tych, którzy sami rewolucję, sprawę wolności narodu zatracić chcieli...

Przymknawszy zmęczone oczy, wciąż widział, jakby na jawie, zaczerwienione z oburzenia, wykrzywione wściekłością twarze, wyciągnięte ku niemu pięście, połyskującą w mroku broń, a wszystko to mierzyło w niego, wprost w pierś!...

Na te wspomnienia dreszcz nim wstrząsał, a w sercu budziło się pragnienie pomsty, straszliwej po-

msty nad nieubłaganym wrogiem, jakim czuł, że jest dla niego Lubecki...

Płonąc wzajemną ku niemu nienawiścią, ogarnięty nią, zapomniał przy niej o wszystkim, o sprawie, o rewolucji... Postać Lubeckiego przesłaniała mu wszystko, i na jego wspomnienie krew uderzała mu do głowy, czarna mgłą zaścielała oczy...

Z niecierpliwością oczekiwał świtu, by wziąć na Lubeckim pomstę za dzień wczorajszy, za strącenie z piedestału, za okrycie hańbą, za przegraną...

A gdy dzień zabłysnął, zerwał się, ubrał śpiesznie, i dopadłszy konia, pomknął ulicami miasta, wypatrując wszędzie grup gromadzących się ludzi, a zwłaszcza oficerów i żołnierzy, i zatrzymując się przy nich, płomiennymi, pełnymi namiętności słowy wzywał ich do obrony zagrożonej rewolucji, wskazywał na szerzącą się u góry zdradę, na wypuszczenie Konstantego z wojskiem, na dążenie do zaprzepaszczenia sprawy, za którą już tyle krwi przelano, tyle ofiar padło...

— Święta, przelana w walkach krew ludu ma iść na marne, — wołał: gdyż generał Chłopicki nie zamysła wcale o rewolucji... Oddany reakcji, chce nas oddać znów w niewolę carowi, z którym pragnie zawiązać układy!...

I ostremi słowy potępiał Chłopickiego, lżył i wgardą obrzucał ministrów, a szczególnie Lubeckiego, nazywając ich „sprzedawczykami“, „sługusami cara“...

Wzywał ich, aby generała Szembeka wodzem naczelnym okrzyknęli...

A wszędzie, gdzie się ukazał, pełnymi zapamiętania wystąpieniami swemi wzniecał bunt, szerzył protest, nakłaniał ludzi do porwania za broń w obronie zagrożonej wolności...

Pod wpływem płomiennych słów jego, w ludziach poczynało się budzić oburzenie, burzyła się krew i z zaciśniętymi pięściami gotowi byli iść za nim, by bro-

nić sprawy rewolucji, by wziąć pomstę na zdrajcach... Coraz liczniejsze koła słuchaczy otaczały go, przytakiwano mu, a często i pomoc obiecywano.

A Mochnackiemu, w miarę tego, gdy widział, że miotane przez niego iskierki rozniecone być mogą w olbrzymie zarzewie buntu, rosło serce z radości, budziła się w nim nadzieja, że jednak zwycięży, że pokona przeciwnika, i że rewolucję poprowadzi na tory, jakie sobie wymarzył, jakie wypielęgnował w tajnikach swej płomiennej, pełnej namiętności dumy...

Wtem, w chwili tego upojenia przyszłym triumfem, raził go cios dotkliwy, cios trafnym sztychem zadany, a pochodzący z ręki Lubeckiego...

Oto, gdy przebiegał Krakowskim Przedmieściem, jeden z przyjaciół wręczył mu numer nowego dziennika p. n. „Polak Sumienny“, wydanego przez księcia-ministra...

Nie szczędząc ostrych słów, godził on wprost w Mochnackiego, potępiając go za warcholstwo, ujawniając przeszłość jego, której się tak wstydził, podając do wiadomości ogółu, że twórca klubu patryjotycznego był podwładnym Szaniawskiego, że pracował w biurze cenzury nad tłumieniem wolności słowa...

A jednocześnie w licznych egzemplarzach ukazały się odezwy gwardji akademickiej, w sposób bezwzględny, stanowczy potępiające Mochnackiego... Jedna z tych odezw głosiła: „Gwardja honorowa, złożona z młodzieży uniwersyteckiej, ma obowiązek ogłosić publicznie, że z Maurycym Mochnackim żadnego udziału nie ma i nie podziela zdań jego, a szanując prawo i Rząd Tymczasowy, ma najwyższe zaufanie w osobach tenże rząd składających i na jego rozkaz pójdzie wszędzie... Ponieważ Maurycy Mochnacki zapisanym był w kompanji 10 gwardji naszej, zostaje z niej wymazany...“

W innej odezwie, wystosowanej do Chłopickiego,

akademicy obiecywali utopić „oreź w piersi każdego zuchwalca, który się poważy ubliżyć najwaleczniejszemu z walecznych“..

Czytało to wszystko Mochnacki i piekło wrzało w jego duszy... Gorycz potężną falą zalewała serce jego, czuł, że grunt usuwa mu się pod nogami, że przeciwnik usiłuje pognać go moralnie, że wobec powszechnego wzburzenia umysłów przeciwko niemu, a czi, jaką prawie wszyscy żywili dla Chłopickiego, nadziei, jaką w nim pokładali, — sprawę swoją za przegraną uważać musi...

Lecz nie chciał się poddać, nie chciał ulec w tej walce, którą postanowił prowadzić do ostatka...

Naraz przypomniał sobie podchorążych... Wszakżeż miał wśród nich wielu przyjaciół, miał wiernie, ślepo oddanego mu brata Kamila, który znów cieszył się wśród kolegów wielkim mirem i posłuchem... Liczył wreszcie na Wysockiego, który, jak sądził, musiał być wielce niezadowolonym z obrotu, jaki sprawa przybrała...

Wiedział również dobrze, że wśród podchorążych szerzy się niezadowolenie, gdyż gorąca, zapalna młodzież inaczej sobie wyobrażała przebieg rewolucji i coraz głośniej potępiać zaczynała działalność rządu i Chłopickiego...

Tak, wśród nich znajdzie ten żywiół tak gorąco przez niego pożądanym, zapalny, gotów do czynu, a jednocześnie zyska w nich siłę zbrojną, przy pomocy której wreszcie obalić zdoła wroga...

Pomknął więc na ulicę Orłą, gdzie pod gołem niebem, przy rozpalonych ogniskach, obozowała szkoła podchorążych...

Zatrzymawszy się przed nimi, przywitany przez brata i znajomych okrzykiem radości, zawołał:

— Podchorążowie!... Obywatele!... Czyście na to chwycili za broń, ażeby Lubeckim drogę do nowych

łask carskich torować?... Czy mniemacie, że car i wielki książę przebaczą wam kiedykolwiek insurekcję?... że nie będą szukali na was okrutnej, bezlitosnej pomsty?... Podchorążowie!... Powstałiśmy, bo już dłużej nie można było ścierpieć jarzma!... Gdyż pragnienie wolności silniejsze było nad wszystko!... Nie dajcie się jednak porwać złudzeniom!.. Dziś niema już dla was odwrotu!.. Zwycięstwo, albo śmierć!... Kto was od walki odwraca, ten was prowadzi na śmierć!... nie na śmierć waleczną na placu boju, lecz na śmierć haniebną z ręki kata!...

Rozległy się z pośród otaczającego go tłumu przeróżne okrzyki, wśród których rozbrzmiewały i na cześć Chłopickiego...

— Panowie bracia!... Ludu Warszawy!... — wykrzyknął w podnieceniu Mochnacki: — Oszukują was!... Chłopicki nie wierzy w siły narodu! Chłopicki wieździe do kapitulacji... Jeden tylko Szembek połączył się szczerze z narodem!... Pytam was, czy nie Szembeka należało obwołać wodzem?... On nigdy nie paktował z wrogiem!...

Huknęły znów donośne okrzyki na cześć Szembeka, poczem Mochnacki mówił dalej:

— Obywatele!... Zwycięstwo albo śmierć!... Cóż znaczą te wyrazy?... Zwycięstwo, to Polska wolna, wielka, w nowych kształtach odrodzona!.. Nie będzie to Polska magnatów, książąt i hrabiów, lecz Polska twoja, ludu polski!... A klęska przegranej, to przecież niewola gorsza jeszcze od tej, którą dotąd cierpiełiśmy!... To dla was, podchorążowie — szubienica, katorga, kajdany; dla ciebie, ludu — nędza, głód, ustawiczna poniewierka!... Wybierajcie więc — zwycięstwo albo śmierć!...

Rozległy się znów donośne okrzyki, poczem Mochnacki znów z innego tonu przemawiać zaczął:

— Zdrajcy będą pragnęli zgasić w nas ducha, pra-

więc o słabości, że wobec przewagi wroga ulec musimy!... Nie wierzcie im!... Zespoleni jedną ideą, zjednoczeni jednym potężnym pragnieniem — silni, potężni będziemy, i nikt nas nie złamie, jeżeli nie damy się porwać zwątpieniu!... Podchorążowie!... Ludu Warszawy!... Usłyszcie, skąd wam grozi niebezpieczeństwo!... Kto zawział się, by rewolucję opanować, zdławić i zduszoną carowi pod stopy rzucić!... Kto pocziwego Czartoryskiego i sędziwego Niemcewicza omotał i splątał, pułkom Konstantego ująć pozwolił, a z carem na chwilę nie przestał konszachtować odprawiać!...

Rozległy się wnet liczne zmieszane głosy:

— Lubecki!... Lubecki!...

— Tak, Lubecki!... — grzmiał Mochnacki: — kto naród sprzedaje? — Lubecki!... Kto z Moskalem trzyma? — Lubecki!... Będziecież więc, bracia, czekali, aż Moskal wróci i pęta na szyję założy?... Nie czas na wahania!... Ojczyzna w niebezpieczeństwie!... Chcecie ratować rewolucję i własne życie?... Trzeba usunąć tych, co stoją wpoprzek!... Znieść trzeba szatańskie zapory!... Kto nie chce iść z nami, ten wrogiem Ojczyzny!... Zdrajcom śmierć!...

I wnet, jakby w odpowiedzi, zahuczał liczny tłum, zebrany wokoło i podchorążowie, jednym potężnym okrzykiem:

— Śmierć zdrajcom!... Precz z Lubeckim!... Na szubienicę go!... Za broń!... Na Bank!... Niech żyje Mochnacki!... Niech nas prowadzi na Bank!...

I podchorążowie, porwani wymową Mochnackiego, który wywlókł na jaw ukryte ich myśli, chwycili za broń, stając w ordynku...

Rozległo się głucho warczenie bębnow i kolumna podchorążych, z bronią na ramieniu, ruszyła w ulicę Leszno, by dążyć na Bank!... Porwani gniewem i zapalem, mknęli naprzód, i w porywie tym zmiotliby nie-

tylko Lubeckiego i Rząd Tymczasowy, ale i wszystkich, ktoby im na drodze stanąć się ośmielił...

Doszli tak do połowy Leszna, zbliżając się do ulicy Rymarskiej, gdy naraz wyrosła przed nimi wysmukła postać Wysockiego...

Pełnemi zdumienia oczyma patrzył na mknących naprzód, z Mochnackim na czele, podnieconych Podchorążych...

— Co to jest? — zawołał: Stójcie!... Dokąd idziecie?...

Odpowiedziały mu liczne zmieszane głosy:

— Na Bank!... Śmierć zdrajcom!... Lubecki zdrajca!... Na szubienicę z nim!...

A Mochnacki z wyżyn konia rzekł do niego:

— Tyś zrobił powstanie!... Ratuj je teraz!... Bierz dowództwo!...

A widząc, że Wysocki stoi nieruchomy, niewzruszony okrzykami tłumu, ciągnął dalej:

— Nie zatrzymuj ich... Bracia!... — zawołał, zwracając się do tłumu: już teraz nic was nie powstrzyma!... Niech gniew ludu dosięgnie zdrajcę!... Ratujcie powstanie!... Tylko umarli nie myślą się i pomyłkami swemi kraju w przepaść nie ciskają!... Ratujcie Ojczyznę!... Ratujcie siebie!... Naprzód!...

I znów wybuchły potężne okrzyki:

— Naprzód!... Na Bank!...

Lecz Wysocki rozłożył ręce i krzyknął błagalnie:

— Zaklinam was!... Stać!...

A gdy cokolwiek uciszyło się, zawołał gwałtownie do Mochnackiego:

— Nie pozwolę nowej zbrodni!...

Poczem, zwracając się do Podchorążych, rzekł:

— Koledzy!... czy przestaliście mi ufać?... Słuchajcie!... Powstałiśmy przeciw najeźdźcy!... Tak!... Ale dość walk bratobójczych!... Już rewolucja spła-

miła się krwią niewinnych ofiar!... Chcielibyście nowych?... Nie!...

Spostrzegł Mochnacki, że władza nad Podchorążymi i tłumem wymyka się z rąk jego, i podniecony mówić zaczął do Wysockiego, zwracając się jednocześnie i do Podchorążych:

— By ocalić rewolucję, trzeba usunąć jej wrogów!... Bracia!... Nie pora na tkliwości, gdy chodzi o istnienie narodu!... Niech zaprzańcy poniosą zasłużoną karę, niech słabi i wątpiacy wiedzą, że przed Polakiem jedna tylko droga: zwycięstwo, albo śmierć!... Naprzód!... Na Bank!...

I znów odpowiedzią był mu potężny okrzyk:

— Naprzód!... Na Bank!...

Szarpnęli się Podchorążowie, by dążyć naprzód, do celu, jaki wskazał im Mochnacki, gdy naraz Wysocki padł na kolana na środku ulicy, przed nimi, i rozkrzyżowując ręce, jakby chcąc w ten sposób zatrzymać ich w pochodzie, wołać począł:

— Bracia!... Błagam was!... Zaklinam na wszystko, co najświętsze!... Nie kalajcie czystych rąk morderstwem!... Dość przelewu bratniej krwi!... Kto mi wierzy, ani kroku dalej!

Zawahali się Podchorążowie, rozległy się liczne okrzyki:

— Niech żyje Wysocki!...

Spostrzegł to wahanie Mochnacki i zrozumiał, że przegrał sprawę... W uniesieniu zawołał do Wysockiego:

— Wojny nie prowadzi się w rękawiczkach!... Gubisz rewolucję!...

— Ratuje honor polskiego żołnierza, — odrzekł mu z godnością Wysocki.

— Zdrajcom pomagasz! — rzucił mu ostro Mochnacki, na co posłyszał również ostrą odpowiedź:

— Wojnę domową chcesz wzniecić? Jednych przeciw drugim pchasz!...

A Mochnacki, jakby paroksyzmem szału ogarnięty, wołać począł do tłumu:

— Nie słuchajcie go!... On szlachetny, ale błędzi! Kto wolność miłuje, na Bank!...

Zamęt zapanował w szeregach i wśród tłumu... Rozlegały się głosy:

— Naprzód!... Na Bank!... Wysockiego słuchać!...

A Wysocki, widząc, że panować zaczął nad sytuacją, wyprostował swą smukłą postać, i miotając oczyma błyskawice, mocnym głosem mówić począł:

— Kto Polskę kocha ani kroku!... Obywatele, generał Chłopicki dyktatorem się ogłosił!... Odtąd jeden rozkaz!... Jeden posłuch!...

Cisza zapanowała wśród tłumu, a potem przerozdziła się w jeden wielki, jakby szept, przebiegający z ust do ust:

— Chłopicki dyktatorem! — by po chwili wybuchnąć jednym potężnym, żywiołowym okrzykiem:

— Niech żyje Chłopicki!...

Wiadomość ta była nowym ciosem dla Mochnackiego... Uczuł, że Chłopicki stanął na takiej wyżynie, na której dosięgnąć go już nie zdoła, że przegrał ostatecznie sprawę... Zwrócił się też z wyrzutem do Wysockiego:

— Własną sprawę grzebiesz!...

Lecz ten nie słuchał go, zajęty wydawaniem rozkazów podchorążym, którzy na jego komendę stanęli w ordynku, i przy biciu w bębny zawrócili i ruszyli z powrotem na Orlą ulicę, do obozowiska swego...

Za nimi pociągnął tłum...

Mochnacki pozostał sam, opuszczony przez wszystkich...

Z bólem patrząc na oddalające się szeregi podchorążych i tłum, wyszeptał:

— On!... Wysocki!... Przeciwno mnie!... To był cios najokropniejszy, bo z rąk przyjaciela!...

Lecz po chwili otrząsnął się z tego przygnębienia, poczuł jeszcze w sobie dawną moc i rzekł do siebie:

— Znajdę jeszcze dawną posłuch w tłumie!... Walczyć będę do ostatka, albo zginę!...

I ruszył naprzód...

Lecz wieści, jakie posłyszał od poszukujących go po mieście przyjaciół, nie przyniosły mu uspokojenia, nadkruszyły tą moc, zaczęły odbierać energję...

Chłopicki rzeczywiście ogłosił się dyktatorem...

Oburzony do żywego awanturami na mieście, wszczętymi przez Klub Patrjotyczny, chciał złożyć już w przeddzień dowództwo, lecz Rząd uprosił go, ażeby nie czynił tego... Zaledwie uspokoił się cokolwiek, nadzedł Krukowiecki. Otrzymał on w dn. 2 grudnia dwa rozkazy, jeden od gen. Kuruty, szefa sztabu wielkiego księcia, aby natychmiast z 1 i 6 pułkiem zbliżył się do Warszawy od strony Mokotowa, drugi zaś od Chłopickiego, ażeby najspieszniej stawił się ze swoją dywizją w stolicy...

Krukowiecki, posłuszny temu drugiemu rozkazowi, wydał gorącą odezwę do żołnierzy, posłał rozkaz Giełgudowi i z największym pośpiechem ruszył do Warszawy...

Tymczasem Chłopicki następnego dnia, po odejściu wielkiego księcia, zmienił swój rozkaz, i polecił, aby wojska pozostały na swoich stanowiskach...

Krukowiecki tego nowego rozkazu nie otrzymał, i wkroczywszy z wojskiem swoim do Warszawy, zgłosił się do rządu...

Chłopicki, rozdrażniony wypadkami dni ostatnich, wpadł na niego obcesowo, wyrzucając brak subordynacji, nazywając „przeklętym wichrzycielem“, czem uniesiony Krukowiecki, odpowiedział mu hardo...

— Rozkazuj, kiedy chcesz, — krzyknął wtedy Chłopicki: ja od wszystkiego umyвам ręce!...

Przerażeni tym wybuchem, przejęci lękiem, ażeby nie spełnił swej pogroźki i nie wycofał się z rządu, stawiając wszystkich w fatalnej sytuacji, dygnitarze cywilni, a z nimi i sędziwy Niemcewicz, rzucili się na kolana i błagali go gorąco, by rzeczy powszechnej nie odbiegał...

Nie pomagało to jednak... Chłopicki miotał się, jak szalony, aż wreszcie, nie mogąc zapanować nad dławiającym go gniewem, padł nawznak na ziemię nieprzytomny i pienie się zaczął...

Zdawało się, że rażony został paralizem, pierś jego oddychała szybko, a ze zdławionego gardła nie mógł wydobyć ani słowa...

Przerażeni członkowie Rządu rzucili się na ratunek, posłano po lekarzy i przybyły nieprędko młody doktor Wolf, puścił mu krew natychmiast, poczem na łóżko do tylnych pokoi odnieść go kazał...

Wiść o niebezpiecznej chorobie Chłopickiego lotem błyskawicy rozbiegła się po mieście, przejmując wszystkich żalem głębokim i trwogą niewypowiedzianą o dalszy bieg wypadków...

Skorzystal z tego wrogowie Mochnackiego i wnet poczęli po mieście szerzyć pogłoski, że główną przyczyną choroby wodza naczelnego są wypadki, jakie zaszły w Klubie Patrjotycznym, a głównie wystąpienia Mochnackiego...

I pod wpływem tego, oburzenie ogólne zwróciło się przeciwko Mochnackiemu, w sercach zapłonęła nienawiść, i poczęto szukać go po mieście, by na nim pomstę swoją wyrzucić...

A tymczasem Chłopicki, wróciwszy do przytomności, ochłonawszy cokolwiek po zajściu z Krukowieckim, rozmyślać począł nad sytuacją ogólną, a wiedząc że brak karności i bezwzględności posłuszeństwa, zwiła-

szcza ze strony wojska, rychło może sprawę do upadku doprowadzić, a lekceważąc sobie przytem otoczenie swoje, jak również i samą rewolucję, powziął postanowienie śmiałe, choć zgodne z jego despotycznym charakterem...

Nazajutrz po gwałtownej scenie z Krukowieckim, w dniu 4 grudnia, zawezwał do siebie Niemcewicza, a gdy ten przybył, zalić się przed nim począł gorąco na nastrój rewolucyjny w Warszawie, szczególnie zaś na działalność Klubu i postępowanie Lelewela...

— Posępny Lelewel, — mówił: jest prezesem klubu tego i członkiem Najwyższej Rady, milczy lub na dwie strony gada, wszędy podmucha, a przecież udaje, jakoby o niczem nie wiedział, do niczego nie należał, gotując sobie tem chytrem postępowaniem na wszystkie przypadki osobiste bezpieczeństwo, chwale w powodzeniu, nieodpowiedzialność w upadku... Już wychodzą pisma burzące... Cóż dalej będzie?... Dajcie mi pokój. Złożyłem wczoraj komendę. Dajcie ją komu innemu...

Stropił się wielce tem oświadczeniem Niemcewicz, patrzący w generała, jak w jedyne słońce nadziei... Zaczął go uspokajać, odwołując się do sławnej przeszłości jego... Perswadował mu, mówiąc:

— Nie czyni tego... Nie opuszczaj w chwili tak ważnej sprawy ojczystej... W tobie cały naród nadzieję pokłada, że silną ręką ład i porządek zaprowadzisz... Bez ciebie zginie sprawa i jeszcze większy zamęt zaplanuje... Ty jeden tylko możesz stać na czele, gdyż naród cały w tobie tylko ma zaufanie...

Rozgniewał się Chłopicki na te perswazje, ofuknął go:

— Niczyich rad nie potrzebuję!... Sam wiem, co mi czynić należy!...

Poczem, jakby chcąc podkreślić swój gniew i dać

znak, że rozmowa skończona, odwrócił się plecami do starca...

Posiedział jeszcze chwilę Niemcewicz, wiedząc dobrze, że żadne już namowy nie przekonają upartego generała, poczem, uważając, że audjencja skończona, wstał ażeby odejść...

Wtem Chłopicki odwrócił się niespodziewanie, i zatrzymując go, rzekł:

— Proszę zostać i napisać proklamację do wojska, że się dyktatorem ogłaszam!...

Uradował się niezmiernie tem Niemcewicz... Ogłoszenie dyktatury, silnej władzy, która by wszystko w karby wzięła i do posłuchu zmusiła, było nietylko według jego, ale i większości patryjotów, jedynym ratunkiem...

A na dyktatora nikt inny, jak tylko Chłopicki, nie był odpowiedni...

Zabrał się wnet do pisania, i w niedługim czasie ułożył odezwę, w której Chłopicki oznajmiał wojsku, że obejmuje dyktaturę, że dążyć będzie do zaprowadzenia ładu i porządku, do zdobycia wolności, a na zakończenie domagał się posłuszeństwa i subordynacji, opornym grożąc surowymi karami...

Odczytał tekst odezwy, Chłopicki zrobił parę poprawek, poczem przywoławszy adjutanta, rzekł:

— Panie poruczniku, proszę odesłać w tej chwili do sztabu, z poleceniem natychmiastowego ogłoszenia w rozkazie dziennym...

Wstał Niemcewicz, i ujawszy dłoń Chłopickiego, rzekł pełnym wzruszenia głosem:

— Uczyniłeś dziś krok wielki, generale!... Sprawę wolności posunąłeś naprzód, daj Boże, byś doprowadził ją do szczęśliwego końca!... Zyskałbyś wtedy sławę niepomierzną i wieczystą wdzięczność narodu...

Wyszedł Niemcewicz, śpiesząc do sali posiedzeń Banku, by podzielić się z członkami rządu nieoczekiwaną i niesłychaną wiadomością...

Chłopicki pozostał sam z myślami swemi...

* * *

Wiadomość o tem była dla Mochnackiego ciosem, gdyż oznaczała wygraną wroga, wygraną, odniesioną w pojedynku...

Natomiast pełną ohydy, obrzydliwości, była wiadomość druga, którą otrzymał od poszukujących go po całym mieście przyjaciół...

— Uchodź!... — wołali oni: — ukryj się!... gdyż Lach Szyrma z kohortą akademików swoich szuka cię po całym mieście, grożąc śmiercią, nazywając zdrajcą, wzywając lud do stawiania szubienicy dla ciebie...

— Lach Szyrma ze studentami swoimi głosi, żeś to ty spowodował chorobę Chłopickiego; żeś to ty doprowadził go do apopleksji, gdyż wtargnąwszy do mieszkania jego, nazwałś go zdrajcą!... że Chłopicki właśnie przez ciebie dogorywa!...

— Lach Szyrma z studentami swoimi rewiduje i rozbija domy, w których wiadomo, że szpiedzy mieszkali lub mieszkają... Wkroczyli też i do twego domu, a otoczywszy go wkoło, zrewidowali szczegółowo cały, poszukując ciebie... Lach Szyrma zabrał wszystkie papiery twoje...

— A matka moja? — — spytał ze wzruszeniem Mochnacki...

— Zachowała się ze spokojem i powagą...

Odetchnął z ulgą Mochnacki, który lękał się, ażeby z jego powodu co złego nie spotkało matki jego ze strony rozszalałych nie tyle fanatyków, ile awanturników, pod pokrywką patryjotyzmu, szukających sposobności do przeróżnych ekscesów...

A tu znów inna wiadomość:

— Lach Szyrma z akademikami swoimi, nie znalazłszy cię w domu, sąd nad tobą na ulicy złożyli, i skazali cię na śmierć... A teraz całe tłumy podnieconego przez nich motłochu biegają po ulicach, poszukując ciebie, grożąc ci, wykrzykując: „śmierć Mochnackiemu!“ — i na każdym nieomal placu wznoszą dla ciebie szubienicę...

Gorzki uśmiech wykrzywił usta Mochnackiego, gdy posłyszał te wieści... Teraz dopiero w całej potędze poczuł zmienność tłumy... Wszakżeż do niedawna, gdyż wczoraj jeszcze, ludzie ci krzyczeli: „Niech żyje Mochnacki!“

Dreszcz obrzydzenia nim wstrząsnął i naraz zdało mu się, że słyszy z oddali wrzaskliwe, nie tyle rozentuzjazmowane patryjotyzmem, ile przejęte żądzą ni-szczenia, żądzą gwałtów okrzyki kohorty Lach Szyrmy...

I naraz poczuł się tak małym, tak słabym, bezsilnym, opuszczonym przez wszystkich... I pod wpływem tego poczucia samotności, opuściło go męstwo, opadła energia, zginęła potężna wola...

Nie czuł się na siłach, by wykrzesać z siebie dawną moc piorunową, olśnić nią i przekonać przeciwników...

Wobec ohydneho wrzasku gawiedzi zniknąć musiała wszelka djalektyka, wszelkie rozumowania...

Lecz natomiast zbudziło się w nim jedno potężne pragnienie: bronić się, bronić za wszelką cenę, oczyścić się z tej całej potwornej, cuchnącej lawiny błota, jakie leli na niego przeciwnicy...

Przeprowadzony do mieszkania jednego z przyjaciół, schwytał za pióro i pisać zaczął odezwy... Lecz i tu opuściła go dawna moc władania sercami tłumów, opuścił go polot orli i poryw... Z pod pióra jego

wychodził liczne szeregi słów, lecz nie było w nich potęgi przekonywania, a była tylko obrona, był protest przeciwko zarzutom, że jakoby obraził Chłopickiego, było tłumaczenie się ze wszystkiego, co dotychczas uczynił...

Odezwy te, wydrukowane i rozrzucone przez przyjaciół, ukazały się tegoż dnia jeszcze na mieście, lecz argumentacja ich nie przekonała nikogo z zaciętych przeciwników... Zawarte w nich frazesy o tem, że nie miał zamiaru znieważać Chłopickiego, że uprzedzał życzenia władzy, że miał zaufanie do „osób historycznych“, którym w przeddzień odmawiał wszelkiego prawa do tej ufności, — brzmiały fałszywie w oczach czytających... Jakżeż raziła ich ta nagła uprzejmość względem Rządu Tymczasowego, który wczoraj usiłował zburzyć, a który dzisiaj obiecywał wspierać w Towarzystwie Patrijotycznym...

I wielki trybun ludu, triumfator w chwili powstania, potężny w uniesieniu i porywie, wydał się tym tłumom nędznym, pospolitym w tej obronie swojej...

I ta obrona, obrona, na którą tak liczył, nietylko że nie pomogła mu w tej chwili upadku, nie uratowała go w opinii tłumów, nie przyczyniła się do zmiany nastrojów, a nawet zgubiła go...

Tłum lubi się znęcać nad powalonymi, i stokroć lepiej byłby uczynił, gdyby milczał...

Zapadł zmierzch... Mochnacki, nie czując się bezpiecznym w dotychczasowym schronieniu, wymknął się z niego, by szukać innego, bezpieczniejszego...

Przebrany dla niepoznaki w pożyczony płaszcz, przemykał się ulicami, gdy naraz, kiedy znalazł się pod gmachem Banku, do którego tak niedawno chciał wkroczyć na czele podchorążych, jako sędzia i mściciel nieubłagany, niosący śmierć dla zdrajców, dojrzał go i poznał tłum roznamiętniony...

Otoczono go wnet zwartem kołem, rozległy się przeraźliwe, ogłuszające, brzmiące jak wyrok śmierci okrzyki:

— Śmierć Mochnackiemu!... Na szubienicę z nim!... Śmierć zdrajcy!...

Wyciągnęły się ku niemu groźne pięście, grożące rozszarpaniem, posypały się na niego hamienie...

A on, w dyszących nienawiścią i szałem twarzach tych ludzi, odczytywał już wyrok śmierci na siebie...

Zasłoniła go sobą jakaś kobieta, przyparto go do bramy... Już, zdawało się, ostatnia godzina dla niego wybiła, gdy naraz zbawcza brama otworzyła się, wpuszczono go do wnętrza i wnet ją zatrzęsnięto, zamknięto zawory, stawiając zapórę bezsilnym już teraz atakom rozwścieczonego tłumu...

Chwiejącego się na nogach Mochnackiego poprowadzono na górę, do komnat Lubeckiego, który sam wyszedł na jego spotkanie...

I oto ten, któremu jeszcze przed kilku godzinami groził szubienicą, rozstrzelaniem, ujrawszy pognębnego przeciwnika, przybywającego by uciec się pod opiekę jego, uczuł w sercu swem litość dla niego... Zrozumiał swą rolę i rzekł do niego delikatnie:

— Witam pana, panie Mochnacki!... Jak niebezpieczno jest, panie Mochnacki, tak wysoko latać...

I wprowadził do komnat swoich niezwykłego gościa, zapewniając, iż tam nic go już złego nie spotka...

A przez okna, z ulicy, dobiegały okrzyki wzburzonego tłumu, wygrażającego „szaleńcowi“.

W komnatach wroga swego, księcia Lubeckiego, „szaleniec“ czuł się bezpiecznym...

Spędził też w nich dni kilka, wiedząc z Lubeckim długie dysputy na temat poglądów na ratowanie Ojczyzny i rewolucji, aż wreszcie, gdy uspokoiło się wzburzenie, rozjechali się w dwie strony: Lubecki na

północ, do Petersburga, by przekonać cara Mikołaja o potrzebie zapewnienia narodowi wolności i konstytucji, a Mochnicki, któremu groziła mściwość Chłopickiego, którego wciąż poszukiwała gwardja akademicka Lach Szyrmy, by sztylet zatopić w jego pierś, — do Lublina, by tam nieść żarzewie rewolucji...

Lecz i tam spotkało go niepowodzenie, bo gdy wygłosił na zgromadzeniu w jakiejś traktjerni mowę podburzającą, powstał taki tumult i wrzawa, że tylko dzięki zamieszaniu wymknąć się zdołał cało i unieść swą głowę szczęśliwie...

Tak rozeszły się drogi dwóch wrogów zaciętych, którzy różnemi drogami do jednego celu — wyzwolenia i uszczęśliwienia Polski, dążyli...

I nigdy już w życiu nie spotkali się z sobą...

V.

Rząd tymczasowy został zaskoczony wieścią, przyniesioną przez Niemcewicza, o decyzji Chłopickiego ogłoszenia się dyktatorem...

Z niejednej pierś, coprawda, wyrwało się westchnienie ulgi, że wreszcie spadł z bark ciężar odpowiedzialności, że nareszcie znalazł się ktoś, kto cały ten trud i ciężar bierze na siebie...

Mimo to jednak, Rząd Tymczasowy, widząc w tem zamach na swoją samodzielność, postanowił bronić jej... Brakło mu jednak odwagi, ażeby przeciwstawić się zamiarom Chłopickiego, po długich też naradach i debatach, żywiąc, coprawda, dość słabą nadzieję, że pozostanie choć przy władzy cywilnej, postanowił zatwierdzić urzędownie decyzję Chłopickiego i posłał mu nominację na dyktatora, ale rozciągnął ją tylko nad wojskiem...

Z niepokojem też oczekiwali wszyscy na skutki

tego kroku, rozważając tymczasem prawa i prerogatywy dyktatora...

A z pokoju, zajętego przez Chłopickiego, nie nadchodziły żadne wieści, choć widziano biegających pośpiesznie, jakby z rozkazami, adjutantów i ordynansów...

Rozeszła się też wieść, że na godziny popołudniowe wyznaczył Chłopicki na Placu Saskim przegląd wojsk, polecając wziąć w nim udział wszystkim pułkom, obecnym w Warszawie...

Dziwiło też członków Rządu Tymczasowego, że na ten przegląd żadnego zaproszenia nie dostali... Lecz spodziewali się, że może w ostatniej chwili, udając się na przegląd, Chłopicki sam, osobiście, ich zaprosi...

A tymczasem Chłopicki w pokoju swoim, po otrzymaniu dokumentu nominacyjnego, szalał... Zerwał się czempredziej z łóżka, ubrał się w paradny mundur generalski, udekorował pierś wszystkimi krzyżami i orderami polskimi i francuskimi, i klnąc, jak kapral, wydawał rozkazy, ganiając na wszystkie strony bez miłosierdzia adjutantów...

Gdy wreszcie zebrała się przed samym przeglądem liczna świta jego w świetnych mundurach, wyszedł z pokoju swego i jak burza wpadł na salę posiedzeń.

Nie zważając na nikogo z obecnych, z furją uderzył pięścią w stół, rzucając na niego dekret nominacyjny, i zawołał:

— Poważono się przysłać mi pismo, w którym władza najwyższa nad wojskiem jest mi przez Rząd Tymczasowy powierzona... Myśl swoją w tej mierze objawiłem już dzisiaj zrana deputacji Rządu. Nie przyjmuję tego pisma i oddaję je. Nie potrzebuję potwierdzenia władzy, jaką już miałem. Jadę do wojska, tam oświadczę, co dla kraju najkorzystniejszym ja sam uważam...

I zanim członkowie Rządu opamiętać się zdołali, by dać odpowiedź na tę obelgę, wypadł z sali i zbiegłszy po schodach, wskoczył na konia i otoczony błyszczącą świtą, pomknął na Plac Saski...

Od południa już panował tam ruch niezwykle, gdyż ze wszystkich stron miasta ściągały oddziały wojskowe, ustawiając się w ordynku, na miejscu, wskazanem przez oficerów sztabu...

Jeden za drugim nadciągały oddziały, i te, które udział w krwawych walkach nocy listopadowej brały, i te, które później do rewolucji się przyłączyły, a każdy z nich licznie zgromadzone tłumy ludu witały głosnymi, radosnymi okrzykami i oklaskami...

Nadciągnęła i szkoła podchorążych, witana bardzo owacyjnie, nadeszli i akademicy pod wodzą prof. Lach Szyrmy, z sztandarem, a nie należąc do wojska, miejsce na boku zajęli...

Przegląd zapowiadał się świetnie, świetniej nawet niż za czasów Konstantego, gdyż nigdy jeszcze tyle wojska zgromadzonego razem na Placu Saskim nie widziano...

Tylko że tym razem przeglądu dokonywać miał nie satrapa moskiewski, nie tyran, a swój, polski generał, opromieniony sławą w wielu bojach, wódz niezwyciężony, który miał te zastępy do boju zwycięskiego prowadzić, dyktator...

Z naprężeniem oczekiwano przybycia tego, w którym wszyscy nadzieje pokładali...

Wtem z oddali dobiegły zmieszane okrzyki ludu, witającego na wiodących na Plac Saski ulicach jadącego generała.

Sprężyły się wojska, padły rozkazy, a gdy u wylotu ul. Wierzbowej ukazała się wyprostowana, rycerska postać generała, w błyszczącym orderami mundurze, siedzącego na koniu, otoczonego wspaniałym, w

świątecznych mundurach sztabem, z piersi wszystkich wydarł się potężny, radosny okrzyk powitania... To lud witał bohatera swego; z ulgą myśląc, że pod jego wodzą niestraszne mu są oczekiwane niejedne jeszcze ciężkie chwile...

Jednocześnie zagrzmiały orkiestry pułkowe, rzucając ku niebu potężne tony mazurka Dąbrowskiego...

Na tą melodię tak umiłowaną, a dotychczas zakazaną, na ten widok rycerskiej postaci upragnionego wodza, z pewnością siebie, wzrokiem jasnym, ognistym wodzącego po szeregach wojska i po zebranych tłumie, pękły tamy wzruszenia i ze wszystkich nieomal oczu popłynęły łzy, a z ust wyrwały się okrzyki radości...

Ogarnięty entuzjazmem tłum wodził za Chłopickim oczyma, jak za gwiazdą nadziei, która bysnęła nareszcie na szarem, zachmurzonym niebie polskiej rzeczywistości...

A Chłopicki kłaniał się z powagą na wszystkie strony, dziękując ludowi za zaufanie, wreszcie rzucił rozkaz, i wojska sprężyły się, z bronią na ramieniu, gotowe do przeglądu...

Przejeżdżał przed frontem, bacznie spojrzeniem ogarniając te karne, świetnie wymustrowane szeregi, gotowe na jego rozkaz pójść każdej chwili na bóg śmiertelny, a uśmiech uznania przewijał się po jego surowych, zaciśniętych ustach...

Dojechał tak do podchorążych i zatrzymał się przy nich. Długo wpatrywał się w ich dzielne, młodzieńcze postacie swemi orlemi, przenikającymi do głębi oczyma, wreszcie rzekł:

— Podchorążowie, wyrażam wam pochwałę za męstwo, patriotyzm i zapał, z jakim chwyciliście za broń, by walczyć o wolność Ojczyzny...

A zwracając się następnie do wszystkich oficerów i żołnierzy, rzekł głośno:

— Dziękuję panom oficerom za świetny wygląd i postawę armji...

A te krótkie, żołnierskie słowa uznania wzbudziły w szeregach radość większą, niż najwyższe nagrody...

Skończył wreszcie objazd szyków wojskowych Chłopicki, a rozkazawszy pułkom uformować czworobok, stanął pośrodku i donośnym głosem, gorąco, przemówił do wojska i ludu:

— Chwila obecna, ciężka bardzo, wymaga władzy sprężystej i silnej... Tę władzę postanowiłem po długim namyśle objąć, dla dobra Ojczyzny... Biorę dyktaturę, jestem dyktatorem i pytam się, czy lud i wojsko zatwierdzenie mi dają!...

A odpowiedzią na to były mu potężne, huczące jak grom, pełne zapału i radości okrzyki tysięcy ludzi:

— Niech żyje dyktator!...

Z błyszczącym wzrokiem słuchał tych okrzyków, zatwierdzających władzę jego, a gdy ucichły na chwilę, uniósł się w strzemionach, a podnosząc do góry kapelusz, zawołał:

— Niech żyje Ojczyzna!...

Tłumy podchwyciły ten okrzyk, a wtedy dyktator ze świtą swoją, odprowadzany przez potężną melodję Mazurka, graną przez wszystkie orkiestry pułkowe, żegnany niemilkącymi okrzykami tłumu, odjechał...

Pustoszał zwolna Plac Saski, wojska odchodziły do koszar, tłum wracał do domów, a wszyscy pewni byli ostatecznego wygrania sprawy, gdyż Polska i rewolucja, teraz już nierozłączne, miały dyktatora...

VI.

Gwałtowny, zawrotny wprost wir wypadków, mknących z oszalamiającą szybkością, odsunął w cień Wysockiego, wysuwając na widownię gwiazdy pierw-

szej wielkości zarówno ze świata wojskowego, jak i politycznego...

Przyjął to spokojnie zupełnie, bez najmniejszego cienia buntu lub żalu, jako rzecz zupełnie naturalną, i nawet jednym słowem nie zaprotestował przeciwko temu...

Uważał to bowiem za rzecz zupełnie normalną... Doprowadził dzieło swoje do zamierzonego celu, rewolucja zwyciężyła, Konstanty ustąpił z Warszawy i Polski, Chłopicki był dyktatorem, Lelewel zasiadał w rządzie, składającym się z gorliwych, gorących patrijotów...

Cóż więcej potrzeba było?... Wiedział, że losy rewolucji i Polski złożone są w ręce osób, na które od lat już opinja publiczna wskazywała, przekonany był, że one sprawy nie zaprzepaszczą, że zresztą znacznie lepiej na tych wszystkich rzeczach znają się od niego, który nie był ani wodzem, ani politykiem, a tylko podporucznikiem, przywykłym słuchać rozkazów swoich przełożonych...

Bez cienia też najmniejszego żalu usunął się w zacisze mieszkania swego przy ul. Widok, czekając wezwania, czekając rozkazu...

W Warszawie, oszołomionej nawałem wypadków, prawie że zapomniano o nim, a przynajmniej nie wielu pamiętało o tym, który z garścią podchorążych pierwszy ruszył na olbrzymią potencję moskiewską...

Nie zapomnieli jednak o nim liczni przyjaciele... Coraz wpadali do niego to Nabelak, to Gurowski, to Zaliwski, Dobrowolski, Szlegel i inni, znosząc wiadomości z miasta, dziwiąc się spokojowi i bierności jego...

A gdy zagadkowe, tajemnicą otoczone poczynania Chłopickiego drażnić zaczęły patrijotów, przeczuwających, że drogą negocjacji z carem zaprzepaścić chce on dzieło rewolucji, dawnym obyczajem zbierać się

poczęli u niego, naradzając się nad tem gorąco, co czynić należy, ażeby nie dopuścić do tej, jak ją nazywali, zdrady...

W milczeniu słuchał ich płomiennych przemówień, miotanych zarzutów, wszystkich plotek i pogłosek, zbieranych w kawiarniach „Marysi“ i „Honoratki“, pogroźek ich i planów rewolucyjnych... Lecz gdy zwracano się do niego o zdanie, odpowiadał niezmiennie:

— Chłopicki jest wodzem... Chłopicki nie zdradzi... Żołnierzem jestem i słuchać tylko rozkazów jego winienem...

Wzruszali na to ramionami z oburzeniem, i dalej wiedli spory i rozmowy swoje...

A postępowanie Chłopickiego dostarczało do tych rozmów tematów nie mało...

Krążyły po mieście opowieści o wynurzeniach jego przed starym drużem, podpułkownikiem szwoleżerów napoleońskich, Dezyderym Chłapowskim, który na pierwszą wieść o powstaniu, omyliwszy czujność straży pruskiej, pilnujących go w rodzinnym majątku Turwi, przedarł się przez granicę, by nieść służby swej Ojczyźnie, a przed którym, jako przed starym towarzyszem broni, spowiadał się Chłopicki otwarcie z zamiarów i przekonań swoich..

— Nie możemy, — mówił: — bić się z Moskwą, nie poradzimy, ale otrzymamy od cesarza warunki, które nam podadzą na przyszłość możność korzystania z pierwszej sposobności. Cesarz jest w takim położeniu, że przystać musi na moje propozycje, — i wywodził dalej, że będzie żądał pozwolenia na formowanie rezerw, 500.000 karabinów, 500 armat w arsenałach, — a wtedy, — dodawał: — gdy rewolucja dojrzeje, będzie można dokonać tego, co dziś jest niepodobne...

Ze zdumieniem i przerażeniem słuchał go Chłapo-

wski, podziwiając wprost naiwność bezgraniczną tego wielkiego coprawda wodza, lecz jednocześnie człowieka, nie mającego najmniejszego pojęcia o polityce i dyplomacji...

— Ależ generale, — próbował oponować:—wiedz, że Mikołaj, ufny w siłę swoją, a przytem podrażniony w swej ambicji, nawet układać się nie będzie, że o takich warunkach nawet mówić sobie nie da... Właśnie też, dla ich uzyskania, pomnożenie sił zbrojnych do stu tysięcy jest koniecznem, gdyż tylko siłą trafić mu do przekonania można będzie...

— Co ty mi gadasz, — zawołał na to dyktator:— przymaszeruje ich trzysta tysięcy... A wiesz co, gdybyśmy mieli trzykroć, a oni tylko sto, jeszcze nas pobiją...

I ta niewiara w siły narodu, ta nieufność w możność zwycięstwa, znamionowała wszystkie czyny Chłopickiego, które wprost paraliżowały dążenia narodu do wyzwolenia..

Gdy na wieść o powstaniu, cały naród porwał za broń, ogarnięty zapałem i entuzjazmem, on jeden, dyktator, w którym naród wszystkie nadzieje swe pokładał, pozostał zimny, obojętny, gasząc wszelki poryw...

Na zebraniach też u Wysockiego krytykowano ostro zarządzenia jego, jako fantastyczne, niecelowe, a nawet szkodliwe...

Gdy na usprawiedliwienie go, powtarzano słowa jego, wypowiedziane do tych, co go do uzbrojeń zachęcali:

— Poco to wszystko. Jeżeli cesarz nie przyjmie moich propozycji i zechce nas z orężem w rękę przymusić do poddania się, broni mu nie złożę, ale umrzemy z honorem. Połowa będzie musiała przepłynąć przez Wisłę, będę więc tylko z połową miał do czynienia. Wystawię kilka twierdz połowych na pół wy-

strzału od miasta i między wałami a twierdzami stać będę. Gdy się Moskale zmordują dobywaniem twierdz, wypadnę z całym wojskiem na jednym punkcie i dam im dobrego kulaka...

I jakby na potwierdzenie rzeczywistości tych słów, polecił pułkownikowi Kołaczkowskiemu zająć się obwarowaniem Pragi i Warszawy, jakoteż i wzmocnieniem i naprawą zaniedbanych i przez czas zniszczonych ufortyfikowań Modlina...

Lecz w odpowiedzi na to malkontenci dowodzili, że jednak nie pomyślał nawet o sprowadzeniu 260 dział, stojących bezużytecznie w Zamościu...

...że w tworzonych trzecich i czwartych bataljonach i piątých szwadronach jazdy, oraz wreszcie przy formowaniu szesnastu pułków piechoty i tyłuż jazdy, oddzielił starych żołnierzy od nowych, przez co zwinął całą organizację w zasadzie...

...że z lekceważenia dla ruchawki, jak nazywał powstanie, mianował regimentarzami ludzi wojskowo niezdolnych, a ci natworzyli znów mnóstwo oficerów, którzy, nie mając ani pojęcia o wojskowości, ani miejsc w pułkach, zbijali bruk w stolicy, lub po kawiarniach zabawiali się polityką klubową...

...że ministrem, a raczej zastępcą ministra wojny mianował najnieudolniejszego z generałów, Izydora Krasińskiego...

...że wprowadził rozstrój do administracji, dodając komisarzom obwodowym po trzech obywateli dla kontroli i pomocy, przez co utrudnił znacznie ich działalność...

Wreszcie zarzut ostatni, najpoważniejszy — wysłanie do Petersburga deputacji celem prowadzenia układów z cesarzem...

Ogólnie wszystkim wiadomem było, że myśl tą podsunął mu Lubecki, jak również i to, że Czartoryski, choć uważał wysłanie tej deputacji za formalność po-

trzebną, względami przyzwoitości wskazaną, żadnych sobie jednak stąd skutków nie obiecywał...

Powtarzano też sobie słowa Czartoryskiego, wypowiedziane na posiedzeniu rządu:

— Czasy Aleksandra już przeminęły dla Polski, Mikołaj dla niej nic nie zrobi. Gdyby nawet z początku czynił jakieś obietnice i nadzieje, te będą obłudne i nieszczerze, jedynie w celu zyskania czasu i zgromadzenia sił wojskowych, lub rzucenia między nas niezgody. Kiedy ten cel będzie osiągnięty, nic się nie zrobi, wszystko zerwane zostanie i cesarz z dumą, Moskwie właściwą, bezwarunkowego poddania się ząda...

Krytykowano też bardzo skład tej delegacji... Zwłaszcza co do osoby Lubeckiego, jako bez zastrzeżeń oddanego Rosji, jak również i Jana Jezierskiego, człowieka słabej głowy i małego serca...

Jeszcze większą krytykę wywołały żądania, sformułowane przez rząd dla deputacji. Zawierały one cztery punkty: 1) ogólna amnestja, 2) gwarancja co do zachowania nietykalnie nadanej konstytucji, 3) usunięcie wojsk rosyjskich z Królestwa i 4) przyłączenie prowincji polskich...

Stanowisko Chłopickiego wobec tego ostatniego punktu wywołało już prawdziwe oburzenie zapalonych patriotów... Uznał go on mianowicie za niepodobny do spełnienia dla Mikołaja i w liście swoim do cara przemilczał o nim zupełnie...

W takim stanie rzeczy opozycja, do której głównie należeli ludzie, skupiający się około redakcji „Kurjera Polskiego“, w olbrzymiej większości przyjaciele Wysockiego, oglądać się zaczęła za nowym dyktatorem...

Wysuwano jedno nazwisko za drugim, lecz gdy zwracano się z zapytaniem w tej sprawie do Wysockiego, odpowiadał niezmiennie:

— Chłopicki jest dyktatorem z woli narodu... Sprzeciwić się temu nie możemy, gdyż wywołałoby to wojnę domową...

— Jakto? — pytano go.

— A tak... Zobaczcie tylko, co dzieje się w kawiarniach, gdzie coraz częściej zaczyna przeciwko nam wrogo występować młodzież akademicka z pod znaku Lach-Szyrmy... Wielbią oni wszyscy Chłopickiego i śmiercią grożą każdemu, kto przeciwko niemu wrogo występuje... Rozporządzają oni znacznymi siłami, mają za sobą tłum, a walka wzajemna teraz mogłaby sprawę rewolucji ostatecznie pogrożyć...

Musieli mu przyznać słuszność i wyrzec się myśli obalenia dyktatury Chłopickiego, natomiast nie przestawali podburzać przeciwko niemu opinii...

Zwrócił też wreszcie na nich uwagę Chłopicki, i przypomniał sobie Wysockiego, uważając go za główną sprężynę tej akcji, pewnego dnia przysłał do niego adjutanta...

Zdziwił się Wysocki, gdy mu Szymek - ordynans zameldował o przybyciu pana porucznika... Kazał go wprowadzić, a gdy ten zameldował, że z polecenia generała dyktatora ma się stawić u niego dnia następnego przed południem, odrzekł służbiście:

— Rozkaz.. Proszę, panie poruczniku, zameldować generałowi dyktatorowi, że stawię się...

Porucznik, który dopiero co skutkiem protekcji otrzymał zarówno rangę, jak i stanowisko adjutanta, a przytem, jako krewny Łubieńskich, należał do białych, zmierzył go lekceważącym spojrzeniem i rzekł:

— Proszę, podporuczniku, pamiętać, że generał dyktator lubi punktualność i że w razie spóźnienia czeka pana odwach...

Uśmiechnął się na to lekko Wysocki i odrzekł mu:

— Panie poruczniku, dwanaście lat już służę w wojsku i wiem, co to rozkaz i co punktualność...

Splonął rumieńcem na tę admonicję adjutanta, i nic już nie mówiąc, skinąwszy tylko lekko głową na pożegnanie, brzęcząc ostrogami i szablą, wyszedł z pokoju...

Rozmyślał długo nad tem Wysocki, co może żądać od niego Chłopicki...

Czyżbyż zamierzał powołać go do pracy przy tworzeniu armji polskiej? przy przygotowaniach do spodziewanej wojny z Rosją?...

Po chwilowym jednak namyśle przychodził do przekonania, że to niemożliwe, że Chłopicki, który w przeciągu ostatnich dni paru wielokrotnie dawał wyraz swej pogardzie dla rewolucjonistów, nie mógł zmienić tak raptownie zdania...

Musiało to zatem być coś innego.. Ale co? A może zawistni i wrodzy mu ludzie, którzy teraz z patryotyzmem swoim publicznie się obnosili, nie mogąc patrzeć na tych, którzy dla uwolnienia Ojczyzny życie swe na szwank wystawiali, przysłużyli mu się tak z powodu odbywających się u niego zebrań?...

To ostatnie przypuszczenie wydało mu się prawdopodobniejszym, i przygotowany na wszystko, zarówno na złe, jak i na dobre, postanowił czekać cierpliwie jutra...

O oznaczonej godzinie stawił się w sekretarjacie dyktatora, gdzie zameldował się sekretarzowi generalnemu tegoż, Krysińskiemu, człowiekowi starszemu, chudemu, o siwych już włosach, zakrywających zrecznie łysinę, o biegających niespokojnie na wszystkie strony czarnych oczkach...

Wysłuchał on oświadczenia Wysockiego, że przybywa na wezwanie dyktatora, zanotował nazwisko jego, poczem, wskazując ręką na przyległą poczekal-

nię, w której siedziało już parę osób, wojskowych i cywilnych, rzekł:

— Pan porucznik zaczeka tam... Gdy dyktator będzie wolny, zamelduję pana... Może go zaraz przyjmie...

Wysocki przeszedł do poczekalni i zasiadłszy na ławie, spokojnie przypatrywał się panującemu tam ruchowi... Coraz z gabinetu dyktatora wybiegał adjutant, zamieniał parę słów z Krysińskim, rzucił szepcąc rozkazy ordynansom, wysyłał posyłki, wprowadzał do gabinetu oczekujących cywilnych i wojskowych... Ruch i ożywienie panowały wielkie, Wysocki już zwątpił, czy dnia tego przed oblicze dyktatora dopuszczony zostanie, gdyż już i zmierzch zapadać zaczął, gdy naraz do poczekalni wpadł ów adjutant i, rozejrzawszy się po niej, rzekł:

— Pan podporucznik Wysocki do generała dyktatora..

Wstał Wysocki i obciągnąwszy mundur, udał się do gabinetu Chłopickiego...

W obszernym pokoju, skromnie umeblowanym, przy wielkim stole, założonym papierami, stał on, dyktator, którego wodzem wszczętej przez siebie rewolucji widzieć pragnął, i z pod krzaczastych brwi mierzył go przenikającym nawskroś spojrzeniem szarych, władczych oczu...

Wyprostował się Wysocki przed wodzem i w pozycji na baczność oczekiwał na słowa jego...

Długo trwało milczenie, wreszcie dyktator podniesionym, przerywanym głosem, śpiesznie mówić zaczął... W słowach jego brzmiał gniew i rozdrażnienie...

— Dlaczego tu zostajesz?... Chce ci się rewolucji?... Dam ja ci kulą w łeb, a stanie się dla ciebie rewolucja!... Adjutant placu! — zawołał: — Aresztować go!... Rewolucji mu się chce!...

Zdumiony, lecz nie przerażony bynajmniej, słuchał Wysocki tych niezasłużonych wyrzutów, a gdy dyktator zamilkł na chwilę, mówić zaczął:

— Generale dyktatorze, nigdy o niczem podobnym nie myślałem, czego dowodem jest, że po dokonaniu rewolucji wróciłem na swe stanowisko, i jako żołnierz chcę być we wszystkim posłusznym rozkazom wodza... Jeżeli zaś pozostałem, to jedynie dlatego, że nie zdałem rachunków Komisji Rządowej Wojny...

Spokojny, stanowczy ton głosu jego, z odcieniem bólu z powodu stawianych mu zarzutów, w pewnej mierze podziałał uspokajająco na Chłopickiego... Zmierzył go on raz jeszcze badawczym spojrzeniem i po chwili, przywoławszy oficera służbowego, rzucił mu rozkaz:

— Zaprowadzić podporucznika do Komisji Rządowej Wojny, żeby tam zdał rachunki...

Nie pożegnany przez Chłopickiego nawet skinieniem głowy, wyszedł Wysocki i, idąc za oficerem do pałacu prymasowskiego, przy ul. Senatorskiej, gdzie mieściło się ministerstwo wojny, z goryczą rozmyślał o zmiennej kolei losów, które z niego, gorącego patrioty, który naród cały pobudził do zrzucenia jarzma najeźdźców, czyniły, dzięki podszeptom złych ludzi, przestępcę, aresztowanego, prowadzonego pod strażą po decyzję ministra wojny...

Na szczęście minister wojny, gen. Izidor Krasiński, okazał się człowiekiem uczciwym, wolnym od wpływów... Przyjął też Wysockiego życzliwie, wysłuchał wszystkich wyjaśnień jego, a gdy skończył, rzekł:

— Podporuczniku, wierzę ci w zupełności i odpowiednio sprawę przedstawię dyktatorowi... Powiem mu przytem, że raczej awans ci się należy...

Żachnął się na to Wysocki i z rumieńcem na twarzy zawołał:

— Nie dla awansu zaczynałem rewolucję i nie dla awansu chcę służyć Ojczyźnie...

Uściskał mu wtedy gorąco dłoń Krasiński i rzekł:

— Bądź pewien, poruczniku, całej mej życzliwości... Udać się teraz do domu, przygotuj się do zdania rachunków, a jutro zaraz całą sprawę przedstawię dyktatorowi, i zapewniam cię, że wyniki będą pomyślne...

Pelen goryczki udał się Wysocki do domu, i noc całą przesiedział nad rachunkami, ażeby zdać je w porządku...

Ból bezgraniczny ścisnął serce jego... Oto jaka zapłata spotkała go za to wszystko, co uczynił... Oto jak odwdzięczyli mu się ludzie, którzy wyniesienie swoje obecne temu jego szaleńczemu czynowi zawdzięczali, którzy, gdyby nie ten jego czyn, w niewoli i poniżeniu dalek by żyli...

Po chwili jednak przychodziło uspokojenie i refleksja... Wszystko to nic, znieśie i to i wiele więcej, byle Ojczyzna wolną była... Wszak czynił to wszystko tylko dla Niej... A mimo wszystko, co mu mówiono, jako żołnierz wierzył ślepo w to, że Chłopicki Ojczyznę do ostatecznej wolności poprowadzi... A gdy tego dokona, może go kazać nawet zabić, wszystko mu już jedno, byle tylko Ona wolną, szczęśliwą była...

Pokrzepiony tem na duchu, następnego dnia o oznaczonej godzinie udał się do ministerstwa wojny, gdzie wkrótce po zameldowaniu przyjęty przez ministra, posłyszał od niego:

— Jest pan, podporuczniku, wolny... Powiedziałem dyktatorowi: zaręczam, że wszystko, co o nim mówią, jest fałsz, bo ten człowiek, którego nie chciał przyjąć awansu, pewno nie myślał o nowej rewolucji... Dyktator uwierzył temu, ale...

Tu zawahał się na chwilę gen. Krasiński, a ujrza-

wszy utkwione w sobie pełne oczekiwania spojrzenie Wysockiego, dokończył:

— ...Uważając, że działalność pańska, podporuczniku, może okazać się wielce owocną dla obudzenia powstania w kraju, poleca ci udać się jaknajprędzej w Sandomierskie i Radomskie na inspekcję gwardji ruchomych...

Zdumiony słuchał go Wysocki, wreszcie zrozumiał...

Chłopicki obawiał się go, obawiał, jako tego, na zew którego ruszyły zastępy wojska, a za nimi ludu, którego kochała zapalna młodzież podchorążówki, i jako niebezpiecznego, starał się pozbyć ze stolicy, wysyłając w odległe strony kraju pod pozorem inspekcji.

Lecz nic to... Żołnierzem jest, i jako żołnierz posłusznym być musi, rozkaz wykonać...

Sprężył się więc i odrzekł:

— Rozkaz, panie generale... Kiedy mam wyjechać?..

Zadowolenie błysnęło w oczach Krasińskiego, że mu tak gładko poszło z rozkazem, co do którego spodziewał się sprzeciwów, i odrzekł:

— Dyktator życzy sobie, żeby pan wyjechał jak najprędzej... Papiery wszystkie kancelarja przygotowuje jutro...

— Proszę o tydzień czasu na przygotowanie do drogi i zdanie rachunków, — rzekł Wysocki.

— Dobrze...

Sprężył się Wysocki w ukłonie, i smutny, przygnębiony tem poniewolnem wygnaniem, odsunięciem od najważniejszych spraw, które w stolicy rozegrać się miały w tych właśnie dniach, wyszedł z gabinetu ministra wojny...

VII.

Z ciężkim sercem zaczął Wysocki szykować się do wyjazdu... Czuł, że dzieje mu się wielka krzywda i niesprawiedliwość, a jednocześnie zdawał sobie wyraźnie sprawę z tego, że Chłopickiemu zależy jakoś bardzo na usunięciu go ze stolicy...

Współczuli mu w tem gorąco liczni przyjaciele i znajomi, którzy z oburzeniem przyjęli wieść o nakazanym mu wyjeździe... Wielu z nich twierdziło, że Chłopicki szykuje coś nowego w związku z mającym się odbyć w tym czasie otwarciem posiedzeń Sejmu, i że obawiając się popularności jego wśród mas i wpływu na nie, zawczasu stara się go pozbyć...

Podmawiano go też, ażeby nie usłuchał tego rozkazu, ażeby pozostał w stolicy, lecz Wysocki na doradców tych patrzył, jak na szaleńców, i odpowiadał im:

— Na miłość Boską, co wy ludzie pleciecie!... Zapominacie, że żołnierzem jestem, a u żołnierza posłuch to wszystko... A gdybym nie posłuchał rozkazu, sam pierwszy kulę w łeb sobie bym wsadził... Pamiętajcie, że czeka nas wojna, w której wygrana od posłuchu rozkazom i karność w pierwszym rządzie zależy... Zaś jabym pierwszy miał dawać przykład niesubordynacji...

Wobec takiego stanowiska jego, zaprzestali przyjaciele rozmów i przekonywań, natomiast znosili mu liczne wieści zarówno o poczynaniach Chłopickiego, jak i o naradach posłów w przeddzień otwarcia Sejmu...

A były one wielkiej wagi, gdyż w przeciągu tych paru dni musiały znaleźć rozstrzygnięcie zagadnienia niezwyklej doniosłości, a w pierwszym rządzie kwestja ustroju władzy...

Wszyscy zgadzali się na to, że w sytuacji, w jakiej naród polski się znajdował, jedynie wskazaną była władza absolutna, różnica w zdaniach była tylko co do formy, czy ma być to dyktatura, czy też ustanowienie namiestnika królewskiego..

Większość jednak przechylała się ku dyktaturze, zwłaszcza, że Chłopicki już ją piastował, a według przekonania ogólnego był on jedynym zdolnym dowódcą, a powtóre — on właśnie rozpoczął układy z Petersburgiem, i on winien był je zakończyć...

Ażeby jednak pozyskać zdanie samego Chłopickiego, wydelegowano do niego deputację, złożoną z senatorów i posłów...

Na pierwszym posłuchaniu, w dniu 15 grudnia, oświadczył Chłopicki, że nie przyjmie innej władzy, jak nieograniczoną, bo dzisiaj taki tylko rząd pojmuje...

Nie wystarczyło to deputacji, i na drugim posłuchaniu, w dn. 17 grudnia, na zapytanie ks. Czartoryskiego o sposób polityczny widzenia rzeczy, Chłopicki odpowiedział:

— Nie mam innych widoków, nadziei i zamiarów, jak tylko Królestwo Kongresowe w całości utrzymać, ale utrzymać z całą niepodległością, jaką mu traktaty i konstytucja zawarowały. Będę żądał, aby odtąd konstytucja nie była literą martwą, ale w całej świętości zachowaną została, będę się domagać, aby wojska rosyjskie w Królestwie nie konsystowały, bo to da większe znamię i gwarancję naszej niepodległości. Tego wszystkiego zażadam i otrzymać muszę. Prędzej dam się zabić, niżeli od tego odstąpię, lecz nic więcej nie obiecuję, do niczego więcej nie obowiązuję się, bo nawet podług mego przekonania nic więcej żądać nie można. To jest moje wyznanie polityczne, takie moje przekonanie i przekonanie nieodmienne...

Chciał mu odpowiedzieć na to ks. Czartoryski, lecz Chłopicki, nie dopuszczając go do słowa, powtórzył z naciskiem:

— To jest moje przekonanie nieodmienne...

Nie rzekł już ani słowa ks. Czartoryski, a wtedy zabrał głos poseł Zwierkowski, należący do deputacji i zaczął mówić:

— Chcielibyśmy wiedzieć co do Litwy i Wołynia...

Lecz tu przerwał mu gniewnym tonem Chłopicki:

— Mości panowie, nie przyszedłem tu dysputować, lecz oznajmić swoje przekonania polityczne...

To rzekłszy, skłonił się hardo i wyszedł z sali...

Delegacja pozostała, zaskoczona tem postępowaniem dyktatora i przez długi czas trwała w milczeniu... Nie wiedzieli, doprawdy, co począć...

Niektórzy z nich, a zwłaszcza Lelewel, obecny na tej audjencji, znali dobrze poglądy dyktatora na sytuację, lecz nigdy jeszcze tak szczerze i z żołnierską otwartością, a przytem jeszcze oficjalnie nie wypowiedział się, jako otwarty przeciwnik powstania...

Patrzeli też wszyscy na siebie, niepewni co począć, rozumiejąc dobrze, że ro zgłoszenie tego mogłoby znacznie zaszkodzić sprawie, i po krótkiej, cichej naradzie postanowili zatrzymać tę rozmowę w tajemnicy, nie ujawniać jej, ażeby społeczeństwa nie wyprowadzać z błędu... Upewniano się wzajemnie, że przez Chłopickiego przemawia upór, który same wypadki później przełamia...

Lecz delegaci nie dotrzykali obietnicy, szeptem powtarzane najbliższym przyjaciółom szczegóły audjencji, rozchodziły się po mieście, docierały do uszu patryjotów, wywołując oburzenie i zgrozę...

A następnego dnia otwarcie Sejmu, wbrew woli Chłopickiego, w dn. 18 grudnia, wywołało nowe wzburzenie i nowy zatarg z dyktatorem...

Rząd Tymczasowy, nie porozumiewszy się uprzednio z Chłopickim, wyznaczył otwarcie Sejmu na 18 grudnia, gdy zaś stało się wiadomem, że Chłopicki, w zastępstwie króla chciał sam dokonać otwarcia Sejmu w dn. 21, wynikła kwestja odłożenia sesji...

Posłowie jednak ani myśleli przychylić się do żądania dyktatora... W dniu 18 grudnia zebrał się w sali sejmowej na zamku, i obrawszy na przewodniczącego Walichnowskiego, wysłuchali następnie relacji posła Barzykowskiego z rozmów deputacji z dyktatorem, poczem na zakończenie oświadczył tenże, że Chłopicki życzy sobie, ażeby Sejm dopiero za trzy dni został otwarty...

Porwał się na to z miejsca poseł Morawski i zawołał:

— Protestuję przeciw temu... Niepodobna z otwarciem Sejmu tak długo czekać, gdyż czasy są brzemienne w wypadki i chwili do stracenia niema!...

W odpowiedzi na to rozległy się grzmiące oklaski, a wnet potem zarówno z ław poselskich, jak i z przepelnionej galerji huknęły okrzyki, by obrady rozpocząć natychmiast...

Próżno wymowny poseł ostrołęcki, Stanisław Barzykowski, starał się ratować sytuację, ostudzić zapal posłów i powstrzymać słowa, któreby cios śmiertelny mogły zadać polityce Chłopickiego...

Rozgorączkowana izba poselska poczuła swą moc i pod wpływem słów kwiecistych ani myślała zrzekać się praw jej należnych. Przejęci entuzjazmem i zapałem dla sprawy narodowej, posłowie nie chcieli się zgodzić na uleganie woli dyktatora, chcieli być wolnymi w swych sądach i czynach...

Wyczerpały się argumenty Barzykowskiego, stanął milczący na trybunie wobec tego powszechnego zapalu, a wtedy z sukursem pośpieszyli mu wysłańcy Senatu, ks. Radziwiłł i kasztelan Dembowski, i uzyska-

wszy głos, prosili, ażeby wobec tak ważnej sprawy Izba połączyła się z Senatem i wspólnie z nim sporną kwestję rozstrzygnęła...

Lecz w odpowiedzi posłyszeli:

— Dobrze, żądanie to chętnie będzie spełnione, ale dopiero wtedy, gdy się Izba ukonstytuuje...

I nie zważając już na dalsze perswazje, przystąpiono do obioru marszałka, powołując jednomyślnym okrzykiem na tę godność posła piotrkowskiego, Władysława Ostrowskiego...

Usunął się z miejsca przewodniczący Walichnowski, i na krześle prezydjalnem zasiadł Ostrowski, wśród radosnych okrzyków zebranych rękoma kolegów wniesiony na trybunę...

Entuzjazm, zapał, wzruszenie wszystkich rosły, potężniały z każdą chwilą... Zapanowała wreszcie cisza, gdy Ostrowski dał znak, że chce przemówić...

W serdecznych, gorących słowach dziękował za okazany mu zaszczyt, a gdy w przemówieniu swem wyraził pragnienie, ażeby skład Izby powiększony został braćmi reprezentantami z tych prowincji polskich, które pod obcą przemocą zostają, zerwał się istny huragan okrzyków i oklasków, tak że zdawało się, że strop sali się zawalił...

Oświadczenie to było celnym pociskiem, godzącym w cały systemat polityki pokojowej dyktatora...

A po przemówieniu marszałka znów jednomyślnym, gorącym okrzykiem uznano powstanie za narodowe i polecane do protokołu zapisać:

„Izba poselska rewolucję w dn. 29 listopada tak świetnie przedsięwziętą, za dzieło narodu polskiego przyjmuje i uznaje, zaś mężom, którzy ją przedsięwzięli z tak wielkim poświęceniem się i męstwem, wdzięczność całego narodu polskiego oświadcza“...

Wysocki, obecny dnia tego na galerji z gronem

przyjaciół, ze wzruszeniem słuchał przebiegu tych obrad...

Te kilkadziesiąt prostych słów uznania i wdzięczności, wyrażonych przez przedstawicieli narodu całego, starczyło mu za największą nagrodę, a jednocześnie utrwalalo w nim przekonanie, że dziełu jego upaść i zmarnować się nie pozwolią...

Wystąpił wtedy Lelewel i szczerze uradowany z takiego obrotu sprawy, zabrał głos, nalegając, ażeby natychmiast przystąpić do wyboru komisji, bo to jedynie sejmowe działanie i trwanie umocuje...

Lecz wzruszenie ważnością chwili nie pozwoliło mu na dostateczne rozwinięcie i przeprowadzenie projektu, którem chciał postawić Chłopickiego wobec faktu dokonanego i uniemożliwić spełnienie jego życzeń, i utonął on w powodzi powszechnego wzruszenia i nie stał się uchwałą...

Odroczył następnie marszałek Ostrowski sesję na dzień 21 grudnia, poczem Izba połączyła się z Senatem...

Na tem posiedzeniu wspólnem debatowano nad tem, czy Sejm został otwarty i ukonstytuowany, czy nie, aż wreszcie na wniosek ks. Czartoryskiego zgodzono się, że uroczyste otwarcie i ukonstytuowanie Sejmu nastąpi dopiero 21 grudnia...

Ustępstwo to na rzecz dyktatora, wywołane zostało obawą przed wybuchami szalonego gniewu jego, a jednocześnie lękiem, że odsunie się od sprawy człowiek, którego powszechnie uważano za jedynie powołanego do kierowania losami narodu w tej ciężkiej, przełomowej chwili...

Sądzono też, że Chłopicki uwierzy temu wykrętowi, da się ugłaskać i Sejmowi wstrętów żadnych w działalności jego czynić nie będzie...

Omylono się jednak... Nie był on tak naiwnym, za jakiego uważać go chciano, i gdy tylko otrzymał re-

lację z przebiegu obrad sejmowych, wybuchną szalonym gniewem, zwłaszcza z powodu uchwały Izby, uznającej wybuch 29 listopada za dzieło narodu polskiego, i bez długiego namysłu, uprzedzając wszystkie możebne wyjaśnienia, zawiadomił listownie o złożeniu swej władzy zarówno marszałka Sejmu Ostrowskiego, jak i ks. Czartoryskiego...

Pismo to wywołało wielkie przerażenie u obydwoh dygnitarzy, którzy, uważając, że przez ustąpienie Chłopickiego sprawie narodowej olbrzymie niebezpieczeństwo zagraża, porozumiewszy się z sobą, udali się natychmiast do obrażonego dyktatora, ażeby mu wszystko wyjaśnić, prawdę całą przedstawić i o cofnięcie decyzji błagać...

Lecz przybywszy do Chłopickiego, zostali przez Krysińskiego i adjutantów odprawieni krótkim z nakazu jego oświadczeniem, że dyktator nikogo nie przyjmuje...

Zaczęły się istne pertraktacje pokojowe, jak z przeciwnikiem wojennym; adjutant i Krysiński krążyli między gabinetem Chłopickiego a poczekalnią, w której przebywali Ostrowski i Czartoryski, aż wreszcie po długich i mozolnych wysiłkach dyktator raczył się udobruchać i wyznaczył posłuchanie na godz. 11 rana, stawiając jednocześnie za warunek, ażeby był na niem obecnym kasztelan Leon Dembowski, którego światło wysoko cenil...

I oto przed samem południem w gabinecie dyktatora rozegrała się scena, któraby, gdyby nie tragizm sytuacji, na komedję jakąś raczej wyglądała...

Rozhisteryzowany dyktator, przekonany o wszechpotędze swej władzy, o swej jakby opatrnościowej roli w dramacie, jaki Polska przeżywała, z wyniosłą miną zwycięzcy przyjmował upokorzonych dygnitarzy, błagających go o zmianę decyzji, usiłujących przekonać go wszelkimi sposobami, że otwarcia Sej-

mu w dniu 18 grudnia wcale nie było, że była to raczej sesja przedwstępna, a samo otwarcie nastąpi dopiero 21.

Z ironicznym uśmieszkim przysłuchiwał się temu, obecny na tem posłuchaniu Lelewel, zdaniem którego ustąpienie Chłopickiego mogło dopiero rewolucję na właściwe skierować tory, i, zgadzając się z Chłopickim co do samego faktu otwarcia Sejmu, zwrócił się do deputacji z oświadczeniem:

— Doprawdy, nie rozumiem, panowie, co pojmujecie przez otwarcie Sejmu...

Chłopicki uchwycił się tego, a pragnąc pozbyć się piastowanej władzy, której ciężar rozumiał i odczuwał, dał odpowiedź odmowną deputacji, a gdy ta, zawiedziona w swych nadziejach, kierowała się ku wyjściu, rzekł:

— Pana Lelewela proszę, ażeby pozostał...

Zdziwiony tem Lelewel pozostał, oczekując, co może chcieć od niego dyktator, a gdy ten po dłuższem milczeniu dowodzić zaczął gwałtownie, że rewolucję on sam reprezentuje i że Sejm, postępując wbrew woli jego, postępował kontrrewolucyjnie, — odrzekł spokojnie:

— Nie, panie generale, nie zgodzę się z panem, gdyż Sejm właśnie postępuje rewolucyjnie, dążąc do pogłębienia i rozszerzenia czynu 29 listopada, natomiast pan postępuje kontrrewolucyjnie, przeciwstawiając się żywiołowym żądaniom narodu, który pragnie być wolnym i niepodległym, który rwie się do walki z wrogiem, ażeby tę wolność i niepodległość ugruntować i umocnić...

Ta spokojna uwaga wprowadziła w istny szal Chłopickiego, porwał się od stołu i, biegając po gabinecie, wykrzykiwał:

— Nigdy nie zgodzę się na szaleństwo, które Polskę zgubić może... Nigdy... Nie przyjmę żadnej wła-

dzy, któraby musiała ulegać wpływom szaleńców, którzy w Sejmie zasiadają... Nie przyjmę... Nie przyjmę...

Poznał Lelewel, że próżnem byłoby przekonywanie rozszalałego dyktatora, i, skłoniwszy mu się, wyszedł...

A dnia następnego do mieszkania Chłopickiego napływać zaczęli ludzie, mogący choć jakikolwiek wpływ na niego wywrzeć, tak, że pod drzwiami jego istną procesję tworzyli... A w tej procesji nie brakło ludzi wielkich wpływów i znaczenia, jak ks. Czartoryski, marszałek Ostrowski, sędziwy Niemcewicz, a wszyscy znizali się do próśb i błagań, byle tylko nie pozostawić armji bez wodza i — rzecz nieprawdopodobna — ratować powstanie przez oddanie nad niem władzy człowiekowi, który nieustannie powtarzał, że jest temu powstaniu przeciwny...

A Chłopicki tymczasem sam podsuwał sposób wybrnięcia z tej trudnej sytuacji...

— Oddajcie, — mówił: — dyktaturę Kniaziewiczowi, a ja oddam się w zupełności pod jego rozkazy...

Myśl ta była bardzo szczęśliwą... Kniaziewicz miał sławę zasłużoną, wybitne zdolności wojskowe, charakter czysty i nieposzlakowany, a co najważniejsze, mieszkając zagranicą, dalekim był od wszelkich walk partyjnych, intryg i pokątnych robót, które tak szkodliwy wpływ na rozwój powstania wywierały...

Doświadczenie jego i powaga, imponująca nawet Chłopickiemu, mogła powściągnąć niezgodę i zachwiać sprawę powstania na właściwe wprowadzić tory... Zresztą, powołując Kniaziewicza na dyktatora, nie tylko nie tracono Chłopickiego, ale przeciwnie, zapewniano sobie jego współdziałanie...

Lecz Sejm nie podzielał poglądów dyktatora... Przejmowała go trwoga myśl o długotrwałych per-

traktacjach z Kniaziewiczem, który przebywał w Dreźnie, o powstałej w czasie tychże próżni w pełnienu władzy i związanej z tem niepewności; przejmował go lęk przed spodziewanymi wypadkami i przed tem, że w tak doniosłej dla narodu chwili mógł pozostać bez sternika...

Uderzono więc ponownie w prośby, i w końcu dopięto tego, że Chłopicki, który nie był z kamienia, słysząc ze wszech stron prośby i zaklęcia, widząc, jak wielce tylu poważnym mężom na nim zależy, dał się wreszcie ubłagać, stawiając jednak warunek, że będzie mu oddaną władza nieograniczona, że Sejm, po ustanowieniu tej władzy, natychmiast się rozwiąże...

Wszystkie te warunki Sejm przyjął z radością...

Ażeby skończyć z tą sprawą czempredzej, marszałek Ostrowski przyspieszył o dzień jeden zwołanie Sejmu...

W dniu 20 grudnia zebrała się Izba poselska, na której Ostrowski przedstawił projekt uchwały, oddającej nieograniczoną władzę Chłopickiemu, wzywając do jednomyślnego jej przyjęcia...

Wystąpił z projektem opozycyjnym poseł kaliski, Teofil Morawski, lecz Ostrowski nie dopuścił go do głosu, i tłumiąc wszelkie wystąpienia opozycji, przeprowadził projekt tak, jak życzył sobie Chłopicki...

Za uchwałą tą głosowali wszyscy posłowie, z wyjątkiem Morawskiego, nawet Lelewel, który był w zasadzie przeciwny dyktaturze Chłopickiego, dodając jedynie w protokóle oświadczenie, że „obrady nie są tego rodzaju, aby zdanie swoje wynurzał“...

Oddając nieograniczoną władzę Chłopickiemu, Sejm zrezygnował ze wszystkich praw i przywilejów swoich, ustanawiając jedynie przy boku dyktatora bezsilną deputację sejmową, mającą spełniać niejako funkcje kontrolujące...

Ukoronowaniem tego postanowienia Sejmu było

ogłoszenie manifestu, którego zredagowanie powierzono Lelewelowi i Konstantemu Świdzińskiemu, a gdy tekst, opracowany przez Lelewela, nie zyskał uznania Sejmu, po wielu przeróbkach ogłoszono go wreszcie bez podpisów, a to na skutek protestu dyktatora, który uznał go za zbyt hardy i rewolucyjny, i odmówił swego pod nim podpisu...

W manifeste tym, po wyliczeniu wszystkich krzywd, jakie naród polski doznał od carów, zamieszczono ustęp następujący:

„Powstał naród polski z poniżenia i podległości, z mężkiem przedsięwzięciem niepowrótca więcej do więzów, które skruszył, niezłożenia oręza przodków, póki nie wywalczy niepodległości i potęgi, jedynej swobody rękami, póki niezabezpieczy sobie tych swobód, których domagać się jako zaszczytnej puścizny przodków i naglącej potrzeby wieku podwójne ma prawo: póki nie połączy się z braćmi, ujarzmionymi przez dwór petersburski, z tego jarzma ich nie wyzwoli i swobód swoich, wolności i niepodległości uczestnikami nie uczyni“...

Nic dziwnego, że ustęp ten wywołał gniew dyktatora, gdyż w zupełności przeciwny był jego polityce...

Niewielu z pośród społeczeństwa polskiego zdawało sobie jasno sprawę z rozdzwiewku, jaki powstał między Sejmem a dyktatorem, a który właśnie wyraz swój znalazł w tym manifestie...

Wysocki i przyjaciele jego czuli bardzo dobrze, że naród w osobach przedstawicieli swoich w Sejmie, wypowiedział zupełnie wyraźnie zasadę niepodległości, że oświadczał uroczyście, iż dotąd nie złożą oręza, dokąd prowincje zabrane nie będą przyłączone do Królestwa, a dla dopięcia tych celów powierzał władzę nieograniczoną temu, który je za niepodobne do osiągnięcia uważał, który zamykał się w granicach

konstytucyjnych Królestwa Kongresowego i oświadczał najwyraźniej, że tego swego zapatrywania nie zmieni...

Naród ludził się, że gdy dojdzie do wojny, dyktator, porwany siłą wypadków, spełni swoją powinność, jako wódz i naczelnik narodu, Chłopicki znów ze swej strony mniemał, że skoro uzyska warunki, postawione w Petersburgu, naród i Sejm przyjmą je, jako fakt dokonany...

W zaślepieniu swem lud Warszawy, uwielbiający Chłopickiego, po uchwale Sejmu, w porywie radości i zapału, wyprzął konie z powozu dyktatora, aby w triumfie zawiesić go do mieszkania, wyprawiając mu owację taką, jakiej do czasu tego żaden z bohaterów Polsce zasłużonych nie doznał...

Lecz nietylko na samych owacjach poprzestał naród... Potężnym potokiem popłynęły ofiary na uzbrojenie i wojsko, zaraz na pierwszej sesji sejmowej złożono 397.000 zł. na cele publiczne na pierwsze uzbrojenie, z prywatnych środków wydano na ten cel 40 milionów złotych; Warszawa wystawiła własnym kosztem pułk strzelców pieszych, zwanych „Dziećmi warszawskimi“, Zamoyscy pułk ułanów, Wielkopoleanie dwa szwadrony jazdy „poznańskiej“.

Gośliwość obywatelska, przewycięzając wszelkie przeszkody, dostarczała dla nowych zaciągów: koni, lanc, pistoletów, pałaszy i kulbak, mundurów było poddostatkiem, pieniędzy w skarbie nie brakło, jednem słowem Polska gotowa była wszystko poświęcić dla odzyskania niezależności i wyzwolenia braci swoich z pod obcego jarzma...

Lecz mimo zapału tego i ofiarności serca prawdziwych, trzeźwo patrzących na stan rzeczy patriotów, przejmował lęk, że Chłopicki, przeciwny rewolucji, nie wierzący w jej siły, i nie sięgający ani myślą ani czynem za Bug i Niemen, zmarnuje ten wysiłek, do-

prowodzi do upadku ten zapal i ofiarność, zaprzepaści sprawę narodową...

Wysocki, który patrząc na postępowanie Chłopiczego, poczynął tracić wiarę w niego, i choć niejasno zrazu, poczynął sobie zdawać sprawę z tego, że popełniono wielki błąd, stawiając go na czele rewolucji, podzielał w zupełności zdanie przyjaciół swoich...

Ból go przejmował na myśl, że nie będzie mógł być z nimi podczas oczekiwanych ważnych wypadków, że nie będzie mógł wraz z nimi walczyć i przeciwdziałać zgubnym ich zdaniem poczynaniom dyktatora... Lecząz rozkaz był wyraźny, musiał mu być posłuszny, i w dniu 22 grudnia, odprowadzony przez grońno przyjaciół aż do Grójca, wyruszył w drogę na inspekcję...

Pocieżą mu było tylko to, że znalazłszy się na prowincji, wśród ludzi, do których zrzadka kiedy dochodziły echa wypadków ze stolicy, będzie tam mógł budzić ducha, zachęcać do walki, przyczyniać się do tworzenia tej potężnej siły zbrojnej i moralnej, na której naród polski w oczekującej go walce, zdaniem jego, jedynie i wyłącznie mógł i musiał się oprzeć...

VIII.

Zmierzchać się już zaczynało, gdy wiozące porucznika Wysockiego sanie pocztowe, z trudem przekopawszy się przez śniegi, zaścieniające grubą warstwą całą drogę z Białobrzegów, zatoczyły szerokie koło i zatrzymały się przed gankiem zajazdu w Jedlińsku...

Wysocki wyskoczył z nich i, zwracając się do pocztarka, rzekł:

— Popasujemy tu przez godzinę... Niech szkapy odpoczną i zaraz ruszamy w dalszą drogę...

Pocztarek podrapał się w kudłaty łeb i z zafrasowaną miną, patrząc na niego, rzekł:

— Wielmożny panie poruczniku... Chyba tu przemocujemy, a o świtaniu ruszymy dalej... Koniska zmęczone, ledwie kopytami ruchają, a do Radomia jeszcze trzy mile opętane kopnej drogi... Przed północą tam nie staniemy, a droga idzie przez bory straszliwe... wilki się latoś rozmnożyły, że aż strach... Przed paru dniami rozdarły chłopa i szkape...

— Wilków się nie lękam, — odrzekł mu Wysocki: — mam pistolety i karabin...

— Co tam na nich pistolety i flinta znaczą, — machnął sceptycznie ręką pocztarek: — paru zabije, a reszta jak mrowiem obsadzi człowieka, to nawet kosteczki z niego nie zostawi...

— No, no, — wtrącił się do rozmowy milczący do czasu tego Szymek: — nie bajdurz... Pan porucznik wojak i ja wojak... a wojacy to nietylko wilków, ale nawet i djabła się nie lękają...

Pocztarek, na samo wspomnienie imienia nieczystego, przeżegnał się nabożnie i odrzekł:

— Eh, chociaż djabeł straszny, ale go znakiem krzyża odpędzi, a na wilka i to nie poradzi... A jeszcze dziś wigilja... Toć nie godzi się w taką noc jechać...

Wigilja...

W nawałę wypadków i pracy zapomniał Wysocki w zupełności o tym dniu, tak uroczystym dla wszystkich Polaków...

Prawda, od dziesięciu lat, to jest od śmierci matki, nie wiedział, co to wigilja w kole rodzinnem... Spędzał ją w koszarach, w gronie kolegów i przyjaciół... Nigdy jednak sam...

Smutek na chwilę powlókł mu twarz na myśl spędzenia tego wieczoru uroczystego samotnie, w karczmie małego miasteczka, lecz wnet odpędził go i spytał pocztarka:

— A wy gdzie macie swoich?...

— A toć tu, w Jedlińsku, — odrzekł tenże, szczerząc zęby w uśmiechu...

— A więc wyprzężcie konie, zaprowadźcie do stajni, dajcie im obroku, a o świtanu stawcie się tu...

A wydobywszy z kieszeni dwa złote, podał mu, dodając:

— A tu macie na weselsze spędzenie świąt...

Uradowany pocztarek pocałował go w rękę i zwało wziął się do wyprzęgania koni, krzycząc na karczmarza, ażeby stajnię otwierał czempredzej i dawał obroki...

Wysocki zaś rzekł do Szymka:

— Chodź, razem wyprawimy sobie wiligję...

Weszli do wielkiej, ledwie rozjaśnionej blaskiem płonącego lucywa izby karczemnej, gdzie przywiał ich niskimi ukłonami sam karczmarz, stary już żyd o długiej siwej brodzie, w czapce aksamitnej, obramowanej futrem...

— Dajcie nam, gospodarzu, co jeść i przyszykujcie nocleg, — rzekł Wysocki.

— Aj, co jaśnie wielmożny pan oficer rozkaże, — kłaniał się żyd: tylko u mnie niema nic godnego dla tak delikatnej osoby... A nocleg... chyba tu, na ławie... Izb gościnnych nie mam... Tu nikt nie staje na nocleg... Panowie tylko zatrzymują się na popas w przejeździe do Radomia... Ale ja zaraz... wszystko, wszystko, co godna osoba rozkaże...

— Macie jaja, śledzie, chleb, wódkę? — przerwał potoki wymowy jego Wysocki...

— Dlaczego nie mam mieć... Wszystko mam... Zaraz będzie... Niech godne osoby usiądą...

I prowadził ich w kąk karczmę, do stołu z nieheblowanych desek, otoczonego ławami, a jednocześnie krzyczał na posługaczkę, wydając jej jakieś polecenia...

Po długich nawoływaniach zjawiała się wreszcie

jakaś baba, nieokreślonego wieku, brudna straszliwie, i leniwie się poruszając, dorzuciła najpierw drew na ogień w kominku, potem przyniosła świecę łojową w lichtarzu, którą postawiła na stole, okrywając ją uprzednio jakąś płachtą, mającą imitować obrus...

Światło świecy i ogień, który począł płonąć na kominku, rozjaśniły cokolwiek mroki izby karczemnej, czyniąc ją mniej ponurą, mniej wstrętą...

Karczmarz tymczasem krzątał się za szynkfasem, brzękając naczyniami, wreszcie postawił na stole talerz z chlebem razowym, butelkę z grubego zielonego szkła z wódką i dwa wyszczerbione kieliszki...

Postawiwszy to, stanął, przypatrując się przez chwilę Wysockiemu, który, zrzuciwszy burkę, siedział w samym mundurze, poczem rzekł:

— Z przeproszeniem godnej osoby, jaśnie wielmożny pan oficer jedzie z Warszawy?...

— Z Warszawy, — odrzekł mu krótko Wysocki...

— Co tam słyhać? — dopytywał się karczmarz. u nas ludzie takie dziwne rzeczy plotą... że ten brat carski, Konstanty, z wojskiem moskiewskiem uciekł... że teraz tam nasze, polskie wojska panują... że teraz już tylko Polska będzie... Tu u nas ludzie się zbierają i dużo gadają, i wszyscy się do polskiego wojska wybierają... Mówią, że będzie wielka wojna z Moskałem... Czy to prawda, jaśnie wielmożny panie oficjerze?...

— Prawda...

— Ojoj... To będzie znów tak, jak w 1809 roku, kiedy to nasi bili się z Austrjakami... Oj, tu u nas pod Jedlińskiem to była wielka bitwa... Nasi Austrjaków pobili do szcztetu, a potem pod miastem pogrzebali... Daj Boże, żeby i teraz tak było... Ja naszym dobrze życzę... Ja polski żyd, mój dziad tu siedział, i mój pradziad tu siedział...

Słuchał Wysocki tej gadaniny karczmarza, a my-

śiami był daleko od Jedlińska... Co się tam dzieje, w Warszawie?... Napewno wszyscy z radością w sercu święcą rocznicę Narodzin Chrystusa Pana, rocznicę związaną przytem z tak radosnym faktem wyzwolenia z pod jarzma Moskali, z odzyskaniem tak umiłowanej wolności...

Przyjaciele jego i znajomi spędzają napewno ten wieczór w kole rodzinnem, wśród osób bliskich i drogich, gdy on...

Eh, nie poddawać się żalości... Służba, ot co...

Otrząsnął z siebie ogarniające go rozrzewnienie i odpowiadając karczmarzowi, rzekł:

— Tak, gospodarzu, Moskali już niema i teraz Polska panuje i będzie panować... Ale dajcie nam jeść, bośmy się przez drogę wygłodzili porządnie...

— A co jaśnie wielmożny pan rozkaże? — spytał karczmarz.

— A co macie?...

— Wszystko dla tak dostojnej osoby mam...

— Rybę macie?...

— Ryby nie mam... U nas nawet na szabas... trudno o rybę...

— Śledzie macie?...

— Śledź jest...

— Jaja macie?...

— Jaja są... i ser jest...

— A więc dawajcie śledzie, a z jaj usmażcie jajecznicę, i ser dajcie... A potem z piwa polewkę grzańą...

— Zaraz wszystko będzie, jaśnie wielmożny panie oficerze, — rzekł karczmarz, i kręcić się zaczął po izbie, wykrzykując coraz różne polecenia posługaczce, która ledwie, ledwie się ruszała...

Wysocki tymczasem zasiadł na ławie przy stole, wsparł głowę na dłoniach i zamknawszy oczy, zatonął w myślach...

Ot teraz, tam, w Warszawie, ludzie zasiadają do stołów wigilijnych, dzielą się opłatkiem, składają sobie życzenia, a on tu, w tem pustkowiu, w żydowskiej karczmie święto tak wielkie obchodzić musi...

Przymknął oczy, i naraz zamajaczyła przed nim cudna twarzyczka tej, którą, poświęciwszy się wielkiej sprawie, napróżno starał się wyrzucić i z serca i z myśli... Unikał jej wzroku starannie, schodził jej z drogi, wiedząc, że nie dla niego ona, i już zdawało mu się, że stała mu się zupełnie obojętną, lecz nie...

I choć starał się odpędzić ten obraz czarownicy, widzi, jak na jawie, jak w jasnej powiewnej sukience zbliża się ku niemu, a w drobnych paluszkach trzyma opłatek, by przełamać się z nim, by złożyć mu życzenia...

Już, już miały z ust jej paść słowa, na które oczekiwał z utęsknieniem, gdy naraz...

Pod samą karczmą rozległ się tentent kopyt końskich, palenie z bicia i dzwonki janczarów...

Cudowne widzenie pierzchło...

Wysocki uniósł głowę i nasłuchiwał, coby to takiego być mogło...

A po chwili rozległ się tubalny głos wchodzącego do izby karczemnej szlachcica w lisiurze:

— Aron, kochanie, dawaj gorzały, bośmy przemarli do śpiku kości...

Karczmarz podbiegł do przybyłego, gnąc się w niskich ukłonach i wołając:

— Zaraz, jaśnie panie dziedzicu, zaraz daję...

Przybyły rozejrzał się po karczmie i zobaczywszy siedzącego przy stole oficera, zdjął czapkę i zbliżając się do niego, rzekł z dworskim ukłonem:

— Pan oficer daruje, żem tak hałaśliwie i obcesowo wpadł, ale sądziłem, że tu nikogo w noc wigilijną nie zastanę...

Wysocki wstał i w milczeniu ukłonem odpowiedział na ukłon...

— Wybaczy pan porucznik, — ciągnął dalej szlachcic: że będę natrętny, ale zapytam czy pan tu przejazdem, czy na nocleg...

— Przejazdem do Radomia, — odrzekł sucho Wysocki: ale tu nocuję...

— O nie, jak Pana Boga mego kocham, — zawołał szlachcic: ale nigdy się nie zgodzę, ażeby polski oficer wigilję w żydowskiej karczmie w szabas odprawował... Biorę waćpana do niewoli i zapraszam do siebie...

— Daruje pan, — odrzekł z ukłonem Wysocki: ale z zaproszenia skorzystać nie mogę, gdyż jutro rano muszę być w Radomiu...

— I będzie pan, — rzekł szlachcic: rozumiem, co to służba, gdyż sam wojskowo służywałem, jeszcze pod Dąbrowskim... I syna mam w wojsku... Ale na to, żeby pan, polski oficer, wieczór wigilijny spędzał w karczmie żydowskiej, nigdy w życiu się nie zgodzę, Do mego Zalesia wszystkiego pół mili... Za kwadrans tam będziemy...

Zaczął wymawiać się Wysocki, gdy naraz szlachcic palnął się w czoło ręką i zawołał:

— A też, panie dobrodzieju... Z mrozu mi się wszystko pomieszało we łbie... Zapomniałem się przedstawić... Maszkowski Marcin jestem, z Zalesia...

— Wysocki Piotr jestem, — przedstawił mu się Wysocki...

Na dźwięk tego nazwiska w szlachcicu nagła zaszła zmiana... Cofnął się o krok i wpatrywał się promiennemi oczyma w Wysockiego...

— Wysocki... Piotr... podporucznik gwardji... ten, co szkołę podchorążych pobuntował, na Moskali poprowadził i z Warszawy ich wygnał... Ten sam?... O, dobrodzieju mój, niechże cię uściskam... Teraz to

już choćbym siłą miał cię zabrać, musisz jechać ze mną... Wysocki Piotr, bohater, o którym mój Józek cudeńka pisze, tu, w tej karczmie żydowskiej ma wigilję spędzać... Całe życie bym sobie tego nie darował, a już co mój Józek, to napewno nigdy by mi tego nie przebaczył...

A widząc zdumienie w oczach Wysockiego, dorzucił:

— Wiedźżeż, dobrodzieju mój, że syn mój, Józef, w szkole podchorążych jest, którąś tak dzielnie na Moskali poprowadził i Konstantego do ucieczki zmusił, że aż pantofli zapomniał...

Teraz dopiero przypomniał sobie Wysocki, gdzie widział tę twarz marsową, tylko w młodszym wydaniu, te same poczciwe błękitne oczy... Była to wierna, choć postarzała kopja Józefa Maszkowskiego, który szedł zawsze w pierwszym szeregu, rwąc się do boju jak na tańce...

Uściskiem też odpowiedział szlachcicowi na uścisk, i nie opierał się już więcej kordjalnym zaprosinom jego...

Maszkowski tymczasem, wychyliwszy kielich gorzałki na rozgrzewkę, poleciwszy wynieść po blaszce stangretowi i forysiewi, opowiadał, że zatrzymany interesami w Radomiu, wracał tak późno do domu, gdzie oczekiwali go wszyscy z wieczerzą wigilijną; nie miał wprost słów radości z tego niespodziewanego spotkania, a na ostatek rzekł:

— Pozostaniesz u nas, dobrodzieju, przez święta, a potem sam cię odwiezę do Radomia... Tam przez święta i tak nic niema do roboty...

A gdy Wysocki tłumaczył mu, że musi być nazajutrz w Radomiu, że ma tam robotę, rzekł arbitralnie:

— Robota i u nas będzie, mój dobrodzieju... Oto z sąsiadami naradzamy się nad tem, jakby to oddzia-

lek jakiś wysztyftować... Poradzisz nam w tem, dokończysz, i oto służbę swą spełnisz...

I zanim Wysocki cośkolwiek odrzec zdołał, buńczuczny szlachcic już Szymkowi rozkazy wydawał, ażeby łuby pana porucznika na sanie znosił, jednocześnie posłał karczmarza po pocztarka, zapłacił mu i kazał nazajutrz wracać do Białobrzegów, i w końcu otulonego w burkę Wysockiego ulokowawszy w rozłożystych saniach, wioził już do siebie, do Zalesia...

Konie, czując bliską stajnię, rwały z kopyta, rozrzucając daleko grudy śniegu, tak że w istocie w kwadrans niespełna zajechali przed dwór stary, lecz obszerny, jarzący się z daleka światłem okien...

Maszkowski, wysiadłszy z sani, rzucił forysiovi rozkaz zaprowadzenia Szymka do czeladnej, i zajął się nim tak, by najmniejszego braku nie uczuł, Wysockiego zaś wprowadził przez ganek do przedsiionka, oświetlonego świecami, gdzie na przywitaniu wybiegło kilka osób płci obojga, młodych i starych...

Na widok jednak towarzyszącego panu domu miedego, wysmukłego, nieznanego a przytem przystojnego oficera, ucichły naraz gwarne przywitania i wszyscy stali jacyś niepewni, jakby w oczekiwaniu czegoś niezwykłego...

A stary Maszkowski, nic nie mówiąc, uśmiechając się pod sumiastym wąsem, zdejmował lisiurę, nakazawszy staremu lokajowi pomoc przy zdejmowaniu burki Wysockiemu, poczem ująwszy gościa pod rękę, wprowadził go do wielkiej, jasno oświetlonej wieloma świecami sali, i rozejrzawszy się wokoło po zebranych, jakby chcąc zbadać, jaki efekt słowa jego wywołają, rzekł uroczyście:

— Pozwólcie, moi drodzy, przedstawić sobie więcej milego i drogiego gościa, a Józkowego, ba, całego

Polski bohatera, pana porucznika Piotra Wysockiego...

Słowa te wywołały pożądany przez Maszkowskiego efekt, jednocześnie wprowadzając Wysockiego w wielkie zakłopotanie...

Po chwilowem osłupieniu, wywołanem tą niespodziewaną wiadomością, wszyscy rzucili się ku niemu z przywitaniem, a rozpromieniony Maszkowski prowadził go od żony do księdza proboszcza, a potem do córek, trzech dorodnych panien, podobnych do brata, wreszcie do krewnych i rezydentów, jakby i tycn chcąc uszczęśliwić poznaniem tego, o którym Józek z takim entuzjazmem pisywał...

Wysocki, zażenowany bezgranicznie, kłaniał się wszystkim, całował rączki pań, ścisnął dłonie mężczyzn, przychodząc stopniowo do wniosku, że jednak prowadzenie podchorążych na Moskali było dla niego mniej kłopotliwem i męczącym, niż te radosne owacje rodziny tak lubianego przez niego Józefa Maszkowskiego...

Kres wreszcie tej udręce jego położyło ukazanie się w drzwiach jadalni starego służącego z oznajmieniem, że wieczerza wigilijna na stole...

Ruszyli wszyscy do jadalni parami i Wysocki, któremu przypadł w udziale zaszczyt prowadzenia pani domu, posadzony został na najpierwszem miejscu, między nią a księdzem proboszczem...

Łamanie oplatkiem rozpoczęto od niego, składając na ręce jego życzenia powodzenia dla armji i Polski...

Pani Maszkowska westchnęła tylko przy tem leciutko i otarła ukradkiem łzę, która napłynęła do oka na myśl, że ukochany jej najstarszy syn Józef tak daleko jest od niej i wkrótce może być narażony na niebezpieczeństwo bitewne...

Spostrzegł to mąż, i całując ją przy oplatku serdecznie, rzekł:

— Nie martw się... Bóg go strzec będzie, jak strzegł dotychczas... A pomyśl, że to wszystko dla Polski...

— Ja się nie martwię, — odrzekła mu z bladym uśmiechem, gwałtem przywołanym na usta: tylko gdy pomyślę, że pierwszy rok niema go przy stole wśród nas...

— Służba, moja droga, — tłumaczył pan Maszkowski: trudno...

Ten smutny epizod znikł wkrótce w gwarze, jaki zapanował przy stole...

Pan Maszkowski tubalnym głosem opowiadał spotkanie swoje z por. Wysockim w Jedlińskiej karczmie; ten zaś, na zapytania księdza proboszcza i starszych panów opowiadać musiał przebieg wypadków w Warszawie, przyczem, zauważywszy, że pani Maszkowskiej sprawia tem przyjemność, że przejmuje to ją dumą i radością, powielekroć opowiadał, jak to Józef Maszkowski stawał w sprawie...

Wieczera przeciągnęła się długo, gęsto krążyły kielichy, a stary pan Maszkowski nie zapomniał przytem i o Szymku, dopytując się lokaja, czy ma on w czeladnej wszystko i coraz posyłając mu przez niego to wino, to jakiś smakołyk ze stołu...

Po wieczery, Wysocki, podniecony winem i otaczającą go atmosferą, śpiewał ze wszystkimi kolendy przy akompaniamencie klawikordu, przekomarzał się wesoło z pannami, a gdy już późną nocą udał się do przeznaczonego dla niego pokoju, wszystkie smutki i żalności rozwiały się bez śladu...

W pokoju oczekiwał już na niego Szymek, na którego czerwonej pucolowatej gębie znać było dbałość pana Maszkowskiego, a gdy odprowadził go na spoczynek, rzekł lekko płaczącym się językiem:

— Panie podporuczniku... melduję, że wigilja była niczego... lepsza, niż w karczmie u żyda, a nawet niż w Warszawie...

IX.

Dwa dni świąteczne pobytu Wysockiego w Zalesiu zbiegły mu jak jedno mgnienie... Wszyscy starali się uprzyjemnić mu tam pobyt, a że dom państwa Maszkowskich należał do najbardziej poważanych w okolicy, nie brakło też i gości, którzy zwłaszcza przybywali licznie, gdy dowiedzieli się, że przebywa tam głośny wódz podchorążych i twórca rewolucji...

Zwłaszcza w drugi dzień świąt zjazd ten był bardzo liczny, a podczas gdy młodzież zabawiła się w salonie, starsi matadorzy powiatu, przybyli na specjalne zaproszenie pana Maszkowskiego, zebrawszy się w kancelarji jego, zaprosili pana por. Wysockiego, ażeby z nim o sprawach publicznych porozmawiać...

Z uwagą też wysłuchali relacji jego o wypadkach w Warszawie, o konjunkturach politycznych, wreszcie o misji, jaką miał do spełnienia w województwie.

Zabrał potem głos pan Maszkowski, który przekładać zaczął, że szlachta radomska nie może pozostać głuchą na wezwanie ojczyzny, w potrzebie pozostającej i wzywał do formowania, wedle sił i możliwości oddziału zbrojnego, któryby do wzmocnienia sił zbrojnych się przyczynił...

Zapytany o zdanie Wysocki udzielił kilku rad i wskazówek, poczem szlachta, uniesiona zapałem patriotycznym, a przytem i podniecona wypitem winem, deklarować zaczęła swe ofiary na potrzeby Ojczyzny, zarówno w ludziach, jak w koniach, sprzęcie i gotowiznie...

I w krótkim czasie z deklaracji tych, składanych

na ręce pana Maszkowskiego, utworzyła się siła dość poważna, gdyż wystarczająca na wysztytowanie dwu szwadronów jazdy i paru kompanji piechoty...

Dziękował im za to pan Maszkowski, dziękował i Wysocki, wzruszony tym porywem ofiarności, i snując przytem pełne nadziei rojenia, że jeżeli wszędzie, w całej Polsce taki zapał panować będzie, to w niedługim czasie powstanie moc, jakiej Moskałe nigdy złamać nie zdołają...

Radował się jednocześnie i tem, że na samym wstępie wyprawy spotyka go takie powodzenie, że choć w drobnej części przyczynił się do wzmocnienia siły obrońców Ojczyzny...

Skończono wreszcie obrady, i gdy starsi panowie zasiedli do kart, Wysocki z paru młodymi udał się do salonu, z którego dobiegał gwar wesoło bawiącej się młodzieży...

Staął na progu, rozglądając się po zebranych, gdy naraz rozległ się przy akompanjamencie klawikordu śpiew młodego, dziewczęcego głosu...

Zatrzymał się i słuchał zdumiony... Pieśń ta była mu znana, powszechnie śpiewaną w Warszawie, i teraz zdawało mu się, że słyszy dalekie jej echa...

Wiwat podchorążych szkoła,
Grono wiernych Polski synów!
Któż osławić was wydała?
Któż opisze wielkość czynów?...

Wiwat ci wojskowa młodzież,
Droga wolność odzyskana!
Polski orzeł nam przewodzi,
Dzika przemoc już zdeptana.

Wiwat gwardja narodowa!...
Wiwat Chłopicki kochany!

Was tysięczny wiek przechowa,
żeście zrzucili kajdany.

Niech każdy pod jego znakiem
Z najwyższą radością wyzna:
że Polak zawsze Polakiem,
że nad wszystko jest Ojczyzna!

Niechaj złota wolność żyje!
Niech żyje kokarda biała!
Niech rodak w sercu wyrzeje:
że Polska znowu powstała!

Teraz się Europa zdziwi,
Jak z małą garstką orężem,
Zostaniemy znów szczęśliwi,
I swych wrogów znów zwyciężem!...

Niech żyją Akademicy!...
Wiwat waleczna Warszawa!...
Wiwat dzielni przewodnicy!...
Wiwat, wiwat, Polska sława!...

Ostatnią strofę odśpiewano chóralnie i oczy wszystkich zwrócone były w stronę Wysockiego.

Wzruszony i zmieszany zarazem stał, wsłuchany w tę pieśń, tak drogie przypominającą mu chwilę...

Chciał podejść do śpiewaczki przy klawikordzie, gdy ta znów uderzyła w klawisze, z pod palców jej popłynęła brawurowa, dziarska melodia krakowiaka i znów rozbrzmiał śpiew, tak dobrze znany i pamiętny mu z Warszawy...

Jaka siła nas zbawiła,
Orzeł wolny krąży,
Kto to sprawił, kto nas zbawił?
Dzielny podchorąży.

Z strony wroga żadna trwoga
Już na nas nie ciąży,
Gdy przywodzi naszej młodzi,
Dzielny podchorąży.

Któż nie przyzna, że Ojczyzna
Do potęgi dąży?
Z bronią w dłoni wroga goni
Dzielny podchorąży.

Każdy młodzian zbroją odzian
W śmierć wroga pograży,
Gdy na czele stanie śmieie
Dzielny podchorąży!...

I znów ostatnia strofa rozbrzmiała chóralnym
śpiewem, a potem rozległy się oklaski i okrzyki:

— Niech żyją podchorążowie!... Niech żyje ich
wódz, porucznik Wysocki...

Ta nieoczekiwana owacja jeszcze więcej zmiesz-
ła Wysockiego, który, kłaniając się niezgrabnie, chciał
wymknąć się z salonu...

Był już przy drzwiach, gdy zastąpiła mu tam dro-
gę jedna z panien Maszkowskich, i wskazując na sto-
jącego tuż przy niej barczystego młodzieńca, w mod-
nym stroju, z którym, jak zauważył przedtem Wysoc-
ki, szeptała wciąż na uboczu, spierając się o coś, rzek-
ła:

— Panie poruczniku... Pan Andrzej Sielicki prag-
nie wstąpić do wojska i chciałby zasięgnąć rady pa-
na co do tego...

— Ja... tak... i owszem, — zaczął jąkać się mło-
dzieniec: kiedy panna Klara tak koniecznie sobie ży-
czy...

— Ja sobie nie życzę, — odrzekła energicznie
panna Klara: tylko mówię panu, że wstyd młodemu

mężczyźnie siedzieć w domu, kiedy wszyscy idą do
szeregów...

— Kiedy ja chcę iść, i to choćby zaraz, tylko mój
ojciec, — zaczął się tłumaczyć rozpaczliwie młodzie-
niec...

— Co to ojciec, tu pan musi mieć swoją własną
wolę, — zawołała panienska: powtarzam panu, że nic
z zaręczyn, jeżeli pan nie wstąpi do wojska... Oh,
żebym ja była mężczyzną!... — westchnęła.

Młodzieniec bezradnie rozłożył ręce, i zwracając
się do Wysockiego, rzekł:

— I co ja mam robić? Panna Klara stanowczo
domaga się, ażebym wstąpił do wojska i grozi ze-
rwaniem małżeństwa, a ojciec zabrania mi tego pod
błogosławieństwem, mówiąc, że jako jedynak nie mam
potrzeby, a gdybym zginął, to nie miałby komu po-
zostawić majątku, i ród by zaginął...

— A pan sam? — spytał Wysocki.

— Ja? gdybym mógł, tobym się dziś jeszcze za-
ciągnął...

— Czy dlatego, ażeby nie stracić panny Klary?
— spytał z uśmiechem.

— Nie, nie dlatego, choć droższą mi jest ona nad
życie, ale dlatego, że wiem, że jest to moją powin-
nością...

— To może by się dało jakoś ojca pana przeko-
nać?...

— Oj, żeby się tylko dało! — zawołał młodzie-
niec i w oczach jego błysnęła nadzieja: żeby pan po-
rucznik spróbował...

— Spróbuję, — rzekł Wysocki, ubawiony tą sce-
ną, a jednocześnie przejęty chęcią uczynienia zadość
życzeniu panny Klary...

Młodzi poprowadzili go do przyległego pokoju,
gdzie przy stoliku grał w karty z księdzem probosz-

czem i panem Maszkowskim starszy już mężczyzna, o długiej senatorskiej siwej brodzie...

Poznał go Wysocki, gdyż brał on udział w nara-dzie i deklarował największą ofiarę na potrzeby woj-ska... A że słyszał, że tytułowano go podkomorzyc-em, rzekł więc z szacunkiem:

— Panie podkomorzycu, przybywam tu z instan-cją i prośbą gorącą, ażebyś pozwolił synowi swemu zaciągnąć się do wojska...

Podkomorzyc Sielicki złożył karty na stole i przez chwilę przypatrywał się Wysockiemu wypukłemi, błękitnemi oczyma, poczem mówić zaczął wolno:

— Jak mi wiadomo, nie masz jeszcze takiego pra-wa, ażeby jedynacy służywali wojskowo... A mój An-drzej jest i jedynakiem i ostatnim z rodu Sielickich... Gdyby zginął, ród cały zczezłby na nim... Czyż mało w Polsce jest takich, co mogą ginąć bez szkody dla rodu?...

Wysocki ze zdumieniem spojrział na starca, wy-głaszającego tak dziwaczne, zdaniem jego, pojęcia...

— A więc waćpan, — zawołał z oburzeniem: u-waża, że ród jest ważniejszy od Ojczyzny?...

— Jak dla kogo, — odrzekł starzec zimno: dla mnie — tak... Nie na tom tyle lat pracował i zbierał, ażeby potem wszystko przeszło w obce ręce...

Na twarzy pana Maszkowskiego odbiło się obu-rzenie, hamowane tylko ze względu na gościa, na-tomiast proboszcz nie wytrzymał i zawołał:

— Co też za głupstwa pan wygaduje, mości Sie-licki... Dużo też synowi pańskiemu przyjdzie z ze-branych bogactw, o ile będzie okryty niesławą, że uchyla się od powinności względem Ojczyzny... I dla rodu byłoby lepiej, ażeby, nie daj Boże, gdyby syn poległ na polu chwały, zczeznął w sławie i blasku, niż gdyby miał trwać okryty hańbą...

Wszystkie te argumenty nie zdawały się przeko-

nywać starego pana Sielickiego... Wtem panna Kla-ra, spłoniona, zerwała z palca wspaniały pierścień i podając go Andrzejowi Sielickiemu, zawołała:

— Masz waćpan swój pierścionek... Nie chcę mieć męża, któregobym wstydić się musiała...

Nieszczęsny Andrzej Sielicki nie brał go jednak, tylko patrząc na ojca, wyszeptał błagalnie:

— Ojczce... ja muszę iść... ja nie mogę siedzieć w domu, gdy wszyscy idą... Czyż chcesz, ażebym był nieszczęśliwy całe życie?...

— Milcz waść, — rzekł twardo podkomorzyc, a zwracając się do Wysockiego, dodał:

— Panie poruczniku, cały szwadron wysztyftu-je, byle tylko on w domu pozostał...

Nim Wysocki zdołał odrzec na to, młody Sielicki wykrzyknął:

— Ojczce, to nie to... to nie uchroni mnie od hań-by... Ja sam muszę iść... muszę walczyć, by nie po-wiedziano, że młody Sielicki zląkł się oddać życie za Ojczyznę...

Nic mu nie odrzekł na to podkomorzyc... Siedział z opuszczoną na piersi głową, ważąc coś w umyśle, wreszcie rzekł cichym głosem:

— Kiedy już tak koniecznie nalegasz... kiedy le-każ się hańby, która by była nieszczęściem twego życia... to idź...

Rzucił się syn ojcu do nóg, całując ręce jego... Wszyscy obecni zaczęli wiwatować na cześć starego podkomorzycy, a panna Klara, z rumieńcem na twa-rzy, z błyszczącemi oczyma, mówiła do Wysockiego:

— Wiedziałam, że gdy pan przemówi, podkomo-rzyc ulegnie, i zgodzi się...

Po tym epizodzie zabawa w dworze Zaleskim po-toczyła się w dalszym ciągu, z jeszcze większem oży-wieniem, i skończyła się daleko po północy...

A następnego dnia rano, po ostatecznem omówie-

niu z panem Maszkowskim i Andrzejem Sielickim sprawy formacji oddziału, Wysocki żegnany przez wszystkich serdecznie i gorąco, wyruszył do Radomia...

Odwoził go sam pan Maszkowski, a siedzący na koźle przy stangrecie Szymek coraz żałośliwie oglądał się na niktący w oddali dwór, z bólem rozstając się zarówno z dobrą kuchnią i piwnicą Zalesia, jak i z którąś dwórką, której serce w przeciągu tych paru dni zdobyć zdołał...

X.

Pomimo, iż w Radomiu Wysocki wpadł odrazu w potężny wir zarówno męczącej i wyczerpującej pracy, jak i stał się ofiarą niemniej męczącej i wyczerpującej gościnności szlachty okolicznej, — jednak tęsknota za Warszawą i tymi, którzy w niej pozostali, zagłuszyć się nie dawała, a jednocześnie dręczył go niepokój, jak dalek potoczą się wypadki w stolicy, gdyż znając upór i charakter Chłopickiego pełen był zwątpienia...

Nie mógł się jednak oprzeć chęci podzielenia się myślami i uczuciami swemi z tą, do której wzdychał w tajemnicy wielkiej i którą czcił głęboko, obraz jej nosząc w sercu, i wnet po Nowym Roku wystosował do niej pismo następujące:

Jaśnie Wielmożna Pani

Józefa Karska.

Daruj Pani śmiałości, bo prawdziwie mówiąc, gdyby nie czasy, w jakich się znajdujemy, nigdy bym się nie posunął do podobnego kroku. Lecz znając Cię, jako prawdziwą Polkę, jestem w duszy przekonany, że nie tylko nie odmówisz memu żądaniu,

ale z prawdziwą odczytasz chęcią te listy, które Ci donosić będą o wypadkach wojennych i mojem powodzeniu. Pomijam wszystko, jako rolnik i nieznaający dworszczyzny otwarcie zwykłem się tłumaczyć. Co się tyczy domu Pani i oddania wszystkim uszanowania mego nie mam wyrazów, któreby objawiły moje uczucia i życzenia. Daruj Pani, że się może źle wyraziłem, lecz człowiek tętnący prawdziwą prostotą nie zna pochlebstw i podstępów. Lecz cóż Ci Pani donieść mogę? Gdybym po wyjeździe poprzednio pisał do Ciebie, możeby mój list zrobił większą przyjemność niżeli teraz. Wtenczas to, opuszczając mury Warszawy, przebywszy grzebień Wisły, znalazłem się wśród cieni niewinnych ofiar Pragi, wołających o zemstę. Tak! O zemstę na tych oprawców, którzy w oczach matek rozrywali napoły dzieci, wrywali piersi, a nadomiar dobywali z łona niedojrzały płód ludzki. Tu każdy z nas poprzysiągł wieczną zemstę i tak długo nie złoży oręża, dopokąd nie wywalczy wolności lub nie zobaczy już matki, siostry, żony i dzieci, a przekonany, że nic nie pozostało barbarzyńcom do zniszczenia, legnie spokojniej. Ale czyż tylko Praga zostawiła ślady ich barbarzyństwa?

Niemasz zakątka w Polsce, w którymby ta hydra na zgubę rodu ludzkiego przeznaczona, nie zostawiła piętna okrucieństwa.

Sądziłem, że się usunę w strony w których nie tknęły ich pożogi i mordy. Lecz nie! Pierwszy krok, zrobiony w to miasto, przypomniał mi nieszczęśliwą konfederację. Nie wyrażam popełnionych gwałtów; są znane światu, to krew się ścina na ich wspomnienie. Za ten ucisk i nieprawość wybiła godzina zemsty. Bóg się zlitował nad nami, a my wolni i szczęśliwi dożyliśmy Jego wyroku. Wreszcie piszę do przyjaciół, jakich nikt nie miał i mieć nie będzie.

Jeżeli nie obrazę delikatności, proszę o kilka liter,

któreby mi mogły objaśnić o zdrowiu moich przyjaciół i co się dzieje w stolicy“...

Na brak jednak wiadomości z tej ostatniej nie mógł Wysocki narzekać. Przyjaciele jego pisywali bardzo często i donosili mu szczegółowo o wszystkim, co się w stolicy działo i co robił „uparty kozioł“, jak za Wysockim poczęto nazywać ogólnie Chłopickiego.

A więc dowiedział się, że w poglądach tłumów Warszawy dokonywała się pod wpływem wypadków, głęboka przemiana, że dawna wiara i ufność w Chłopickiego stopniowo słabnąć, a nawet zanikać zaczynała, natomiast na pierwsze miejsce wybijała się coraz bardziej popularność Lelewela, którego ogólnie za męża rewolucji uważać poczęto...

Donoszono mu również o krążących po mieście pogłoskach o tworzonych spiskach na życie dyktatora, o przygotowywaniu nowego rządu, o tem, że na czele jednego ze spisów stał sam Lelewel, który tą drogą władzę w ręce swe chwycić zamierzał... Pogłoski te, skwapliwie podchwytywane przez policję i donoszone dyktatorowi, wprawiały go w szalony gniew przeciwko wicherzycielom, którym zaprzysiągł straszną zemstę.

Wszelkie zarządzone przez Chłopickiego środki ostrożności, jak powiększenie w całym mieście patroli i straży, z zaopatrzeniem ich w ostre naboje, zalecenie policji największej baczności, — nie mogły w niczem wpłynąć na zmniejszenie tych wieści, przybierających już wprost potworne rozmiary...

Tak np. na Lesznie, naprzeciwko klasztoru Karmelitów, który do niedawna był więzieniem politycznym, powieszono na latarni portret znienawidzonego ogólnie generała Roźnieckiego, a tłum zgromadzony wołał:

— Precz z generałem Chłopickim, niech żyje Lelewel dyktator!...

Takie same głosy dawały się słyszeć na Nowolipiu...

Inne znów pogłoski głosiły, że jacyś niewykryci sprawcy mieli rzekomo rozdawać między ludem pieśniadze, a wieść niosła, jakoby miały one pochodzić od konsula pruskiego i jakoby Lelewel wraz z Krukowickim stali na czele spisku i do wojska trafić usiłowali...

Jednocześnie prawie przedarły się z Petersburga wieści o poczynaniach cara Mikołaja I.

Dotknięty śmiertelnie w swej ambicji wybuchem rewolucji car, zachowywał spokój aż do czasu, gdy zarówno Konstanty, jak i wojsko rosyjskie, ustępujące z Królestwa, znaleźli bezpieczne schronienie pod skrzydłami korpusu Rosena na ziemi litewskiej...

Wtedy dopiero mógł w całej pełni dać folgę swej nienawiści, obawiając się jednak, że hasła wolnościowe, szerzone przez rewolucję polską, znaleźć mogą posłuch wśród szlachty rosyjskiej, zwłaszcza wobec podanych w manifeście polskich polityków zapewnień, że nie powodują się „żadną nienawiścią przeciw Rosjanom, wielkiemu, jak i oni, szczepowi słowiańskiemu“, a którzy na sztandarach swoich umieszczali szczytne hasła: „Za wolność naszą i waszą“, oraz ze względu na nieprzebrzmiałe jeszcze wspomnienia rewolucji „dekabrystów“, — zgromadził w ujeżdżalni zimowej w Petersburgu najwybitniejszych jej przedstawicieli i wystąpił z gwałtowną przemową przeciwko buntowniczym Polakom, zażądał złożenia sobie nowej przysięgi na wierność, oraz oświadczył stanowczo, że nie złoży broni i nie spocznie, dopóki Polacy nie będą należycie ukarani...

Odpowiedzią mu był rozgłośny okrzyk „hurra!“ — którym szlachta rosyjska zapewniała mu poparcie w usmierzeniu zbuntowanych Polaków.

Upewniwszy się w ten sposób co do uczuć szlach-

ty, ogłosił car manifest do narodu rosyjskiego, tchnący nieubłaganym duchem zemsty, wyniosły i groźny. Wspominając tam o warunkach, stawianych ze strony polskiej, odtrącił je z pogardą.

„Wiedźcie Rosjanie, — głosił: że je z gniewem odrzucę i spodziewam się, że wasze serca, pałające przywiązaniem do tronu, zrozumieją zupełnie moje uczucia. Rosja potrafi przymusić do spokojności tych, którzy ośmielili się mieszać jej pokój i wszyscy gotowi jesteście ukarać to przemieszanie”...

W tym samym tonie utrzymaną była odezwa do Polaków, w której stawiał następujące żądania:

„1) Aby rosyjscy poddani uwiezieni natychmiast na wolność wypuszczeni byli; 2) aby Rada Administracyjna zaraz powróciła do swoich obowiązków; 3) aby wszystkie władze jej tylko były posłuszne; 4) aby po odebraniu tej odezwy wszystkie korpusy wojska polskiego bezzwłocznie do Płocka wyruszyły, gdzie miejsce połączenia armji naznaczone; 5) aby nakazane nowe uzbrojenia natychmiast rozpuszczone zostały”.

Na zakończenie zaś, jakby chcąc odebrać wszelkie nadzieje dyplomatom polskim, dodawał:

„Jeżeli biorąc się do broni, pochlebiacie sobie w nagrodę swej zbrodni, otrzymać od nas jakąkolwiek koncesję, to oświadczamy wam, wasze nadzieje będą próżne”...

A gdy nadomiar wszystkiego nadeszły wiadomości o przyjęciu, jakiego doznali w Petersburgu wysłańcy polscy, ks. Lubecki i Jezierski, pierzchły wogóle wszelkie nadzieje na jakiegokolwiek ustępstwa ze strony cara.

Toż Lubecki, jak głosiły wieści, spotkawszy się w Brześciu z Konstantym, na posłuchaniu u niego, zamiast zwykłej uprzejmości słyszał same słowa naga-

ny i ostre wyrzuty, zamiast obietnic pośredniczenia u cara, o którym zapewniał w Warszawie, zamiar pobudzenia go do zemsty i surowego ukarania winnych, a w pierwszym rzędzie Lubeckiego.

Do Petersburga również nie wpuszczono wysłańców polskich odrazu, lecz zatrzymano w Narwie, gdzie minister Grabowski zawiadomił ich listownie, że car może ich przyjąć, lecz nie jako delegatów narodu polskiego, lecz tylko Lubeckiego jako ministra polskiego, a Jezierskiego, jako członka Izby poselskiej...

Radzi nie radzi musieli przystać na to delegaci, a wtedy puszczono ich do Petersburga, gdzie na rogatce oczekiwał na nich feldjeger, pod eskortą którego udali się do przeznaczonych dla nich mieszkań...

Tu znaleźli się pod czujną strażą gen. Benkendorffa, komendanta żandarmerji, bez pozwolenia którego nie mogli się z nikim widywać...

Car przyjął ich natychmiast na posłuchaniu, groźny, nieubłagany... Po wysłuchaniu ich upodobał sobie szczególnie Jezierskiego ze względu na jego płytki umysł, oraz na małoduszne bronienie sprawy powstania, przyjmował go na obiadach i herbatkach, wreszcie kazał napisać memorjał o całej sprawie.

Jak umiał wyłożył Jezierski w memorjale rzecz całą, a car, po rozpatrzeniu go, na ostatniem posłuchaniu oświadczył mu, że Polacy powinni zastosować się do warunków, ogłoszonych w manifestie z dnia 17 grudnia, a wtedy sprawa dobrze się zakończy, ofiar niewiele padnie, a na ostatku dodał:

— Spodziewam się, panie hrabio, iż jesteś kontent z mojego oświadczenia i że naród polski zastosuje się do moich życzeń i ty sam przywieziesz mi znowu jego submissionę. W każdym zaś razie spodziewam się widzieć ciebie tutaj z powrotem...

Z wiadomości tych Wysocki wysnuwał wniosek,

że jednak, wbrew oczekiwaniom Chłopickiego, sprawa cała nie da się załatwić pokojowo, że naród polski, raz zrzuciwszy ęta niewoli, nie zgodzi się na ponowne wejście w jarzmo, że walczyć będzie o utrzymanie wolności, i że wobec tego wojna jest nieunikniona...

Wobec tego zabrał się jeszcze energiczniej do inspekcji tworzonych oddziałów, przejeżdżał z jednego miasta do drugiego, z Radomskiego przerzucając się do Sandomierszczyzny, witany wszędzie z radością, podejmowany gościnnie, a niezliczone dowody ofiarności i gotowości do walki utrwały go w nadziei, że wojna z carem uwieńczona zostanie zwycięstwem...

W Sandomierskiem doścignął go nowy rozkaz ministra wojny, ks. Michała Radziwiłła, ażeby udał się do Rudy pod Skierniewicami celem zlustrowania formowanych tam oddziałów.

Podążył tam czempredzej i po przybyciu na miejsce ucieszył się wielce, zastawszy tam kapitana Antoniego Roślakowskiego, z 4 p. piechoty.

Spragniony był wielce wiadomości z Warszawy, gdyż w czasie wędrówek swoich otrzymywał je bardzo skąpo.

Wieczorem też, zasiadłszy w kwaterze swojej przy ogniu, płonącem na kominku, przy butelce wina, zwrócił się do niego z zapytaniem:

— Co słyhać w Warszawie?...

Roślakowski machnął ręką i odrzekł melancholijnie:

— Kotłuje się i nikt nie wie naprawdę, co czynić... Chaos rośnie, rozszerza się i niema nikogo, kto by go zdołał opanować... Dyktator wściekły, że car, przysławszy mu przez Wyleżyńskiego podziękowanie za wszystko, co dla spokojności kraju uczynił, ani myśli robić jakichkolwiek ustępstw dla kraju, że Rada Narodowa, zamiast być pokornie posłuszną jego woli,

przeciwstawia mu swoją opinię, węszy wszędzie sprzyśiężenia i spiski przeciwko sobie i każe aresztować każdego, na kogo tylko padnie podejrzenie... Ostatnio kazał aresztować Lelewela...

— Co?... Lelewel aresztowany? — wykrzyknął, zrywając się z miejsca Wysocki.

— Nietylko Lelewel, ale i Bronikowski i Ostrowski...

— Z jakiego powodu?...

— Strasznie to zawikłana sprawa, i niewielu się w niej rozeznac zdoła, — ciągnął dalej kpt. Roślakowski: opowiem ci ją szczegółowo, bo i o tobie tam była mowa, i całe szczęście, że byleś daleko, gdyż i ciebie spotkałby ten sam los... Oto w dn. 11 stycznia do kasztelana Dembowskiego z Rady Narodowej zgłosił się kapitan Rzepecki i doniósł, że w bataljonie saperów, dowodzonym przez Jana Lelewela, knuje się spisek i że do spisku tego usiłowano wciągnąć żołnierzy artylerzystów. Rzepecki powołał się na świadectwo podpułkownika Dobrzańskiego. Dembowski zawiadomił o tem zaraz Chłopickiego, a ten zaważwał do siebie Rzepeckiego, Dobrzańskiemu zaś rozkazał złożyć swoje zeznanie na piśmie. Dobrzański powtórzył to, co mu o saperach mówił porucznik Nieszokóć. Nadmienił przytem, iż Stanisław Rzewuski opowiadał mu, że miała się odbyć jakaś tajemna sesja, złożona z ministra Lelewela, Bronikowskiego i Bolesława Ostrowskiego, na którą przyszedł Franciszek Grzymała. Na sesji tej uchwalono powołać do życia klub, a gdyby dyktator się nie zgodził na to, zakaz jego miał się stać hasłem do nieukontentowania publicznego. Dodawał jeszcze Dobrzański, że Bronikowski udał się po owej sesji do księcia Czartoryskiego i prosił go, aby dyktatorowi radził zakazanie klubu.

I oto na podstawie takich oskarżeń Chłopicki kazał aresztować Lelewela, Bronikowskiego i Ostrow-

skiego. Gdy wieść o tem rozeszła się po mieście, wywołało to łatwo zrozumiałe wzburzenie wśród patryjotów... Następnego też dnia zawezwał Chłopicki do siebie Dembowskiego, i taką, jak mówią, miał z nim rozmowę:

— Rzepecki, — oświadczył Chłopicki, na wstępie: prawdę powiedział. Z poczynionych indagacji okazuje się, że Lelewel i jego stronnictwo zamierzeli obalić dyktaturę siłą... Cóż myślisz?... Co z nimi robić?...

Dembowski odpowiedział, że jeśli śledztwo winę ustali, natenczas winni muszą ponieść karę, radził nadto, aby sprawę powierzyć nie sądom zwykłym, lecz sądowi wojennemu...

— Niema wątpienia, — utrzymywał ze swej strony Chłopicki: że sąd wojenny skaze winnych na śmierć, nie mogą tylko rozstrzygnąć pytania, czy posiadają dostateczną władzę, aby podobny wyrok zatwierdzić... Mam również wątpliwości, czy sam fakt oddania pod sąd Lelewela nie wznieci jeszcze gorszego zaburzenia...

— Nie można uprzedzać wyroku, — odrzekł Dembowski...

— Czyli, — rzekł dyktator: dla ocalenia Lelewela nie złożą mnie z dyktatury?... Lecz pominawszy to wszystko, ja takiego intryganta nie ulaskawię, a kto wykona wyrok?... Na przekonanie się spróbujemy...

I Chłopicki zawołał adjutanta służbowego i kazał mu przywołać pułkownika Łagowskiego, który dowodził akademikami; gdy ten przybył, rzekł:

— Ze wszystkich oddziałów wojska, największe przywiązanie do mojej osoby okazała mi kompanja, pod jego dowództwem będąca... Jeżeliby w skutku wyroku sądu wojennego odkomenderowany został do rozstrzelania pana Lelewela oddział akademików, czy wypełni to zadanie?...

Pułkownik Łagowski odpowiedział:

— Nie ręczę, czyliby chcieli rozlewać krew i odejmować życie, które jest tyle znane przez swój patryjotyzm...

Na to dyktator oświadczył:

— Łagowski kwestję rozstrzyga, — a kazawszy, żeby nikomu o tem nie wspominał, kiedy wyszedł, rzekł do Dembowskiego:

— Okazuje się, że jestem malowanym dyktatorem: mam powierzoną nieograniczoną władzę, której wykonywać nie mogę. Za tydzień zbierze się Sejm i niech sobie z Lelewelem robią, co chcą... A wy w Radzie róbcie także, co osądzicie możliwem, lecz widzisz, jak rzeczy stoją i możesz kolegów o tem ostrzec...

Dembowski rozmowę tą powtórzył paru zaufanym, i stąd wiem o niej...

A tymczasem wzburzenie w mieście rosło. Opinja była zaniepokojona tem aresztowaniem bez wyraźnych powodów człowieka, którego czczono ogólnie, jako patryjotę, a Chłopicki nie wiedział, jak sobie z tem wzburzeniem poradzić...

Nazajutrz po aresztowaniu stanęło przed dyktatorem grono akademików z Nabelakiem na czele i domagało się uwolnienia Lelewela, przyczem kładli gło- wy swoje za jego osobę...

Nadomiar wszystkiego spotkał Chłopicki trudności i ze strony posusznej mu do czasu tego Rady Narodowej...

Zastępca ministra sprawiedliwości, Bonawentura Niemojowski, któremu dyktator powierzył utworzenie komisji śledczej, odmówił kontrasygnowania tego rozporządzenia na zasadzie, że sprzeciwi się ono konstytucji... Niemojowski wskazał Chłopickiemu Radę Narodową, jako organ, powołany do wyznaczenia sądu kryminalnego. Chłopicki w pierwszej chwili posta-

nowił przesłać Niemojowskiemu dymisję, ale później rozmyślił się i poszedł za jego wskazówką...

Lecz Rada Narodowa, poruszona tą jawną niesprawiedliwością, odpisała dyktatorowi, że przedewszystkiem poczuwa się do obowiązku zwrócić jego uwagę, iż oskarżenia nie są bynajmniej tej natury, aby uwięzieni z aresztu odpowiadać mieli. Wnioskiem jest przeto Rady, aby osoby te natychmiast uwolnione były i z wolności w mającem się przedsięwziąć badaniu odpowiadały...

Nadto Rada Narodowa wystosowała odezwę do komisji sprawiedliwości i w odezwie tej jeszcze wyraźniejsze zajęła stanowisko. Oddając zgodnie z poleceniem dyktatora całą sprawę pod rozpoznanie właściwej władzy sądowej, Rada zastosowanie się do tego polecenia tem chętniej i pilniej poleca, że z niego oczekiwac będzie śpiesznego oczyszczenia osób, ze wszech względów na powszechne zaitneresowanie się zasługujących.

W ten sposób Rada przeciwstawiła się dyktatorowi, i dowodziła tem, że wydęta nadmiernie ta sprawa narodziła się z plotki...

Potwierdził to później i główny oskarżyciel, podpułkownik Dobrzański, a potwierdził listem publicznym, w którym oznajmiał, że daleki był od mniemania, iż z pisma jego zrobią akt oskarżenia przeciw tak zacnemu obywatelowi, jakim jest Lelewel...

Rozumie się, że po tem wszystkiem aresztowani zwolnieni zostali...

— A cóż na to wszystko Lelewel? — spytał rozgorączkowany Wysocki...

— A nic... Ze swoją stoicką flegmą i uśmiechem przyjmował zarówno areszt, jak i uwolnienie... A gdy przy wyjściu z więzienia usłuźni podsuwali mu księgę indagacyjną, ażeby wiedział, kto co o nim mówił, odsunął ją, nie zaglądając nawet do niej...

Teraz też Lelewel przez to aresztowanie w oczach wszystkich stanął wysoko, gdyż wszystkim stało się wiadomem, że jest wrogiem dyktatora, że potępia jego politykę, na którą i ogół coraz bardziej zaczyna się oburzać. Coraz częściej też miotają na Chłopickiego obelgi i nazywają go. za jego bezczynność, zdrajcą... Odsuwają się też od niego coraz bardziej nawet i ci, na których w początkach swej władzy się opierał, a którzy teraz dają się porwać ogólnemu prądowi rewolucyjnemu, którego on jeden uznać nie chce...

Wysocki wzburzony chodził po pokoju, wreszcie zatrzymał się przed Roślakowskim i spytał:

— A czy od cara nadeszła już ostateczna odpowiedź?...

— Przyszła... Przywiózł zrazu 7 stycznia listy od Grabowskiego i Lubeckiego podpułkownik Wyleżyński, a trzynastego przyjechał Jezierski i przywiózł już urzędową odpowiedź cara...

— I cóż?...

— Car odrzucił wszystkie warunki, z jakimi pojechali Lubecki i Jezierski, i według niego mamy się zdać na łaskę i niełaskę jego, ufając tylko gołosłownym i zupełnie nieokreślonym obietnicom carskim. Na memorjale, złożonym mu przez Jezierskiego, car dopisał ołówkiem: „Niech się na mnie spuszczą, a będą szczęśliwi. Słowa monarchy czującego, czem jest honor, mają swoją wagę“...

— A co do ziem zabranych?...

— Odrzekł, że przyłączenie ich to rzecz niepodobna, bo on nie może czynić dobrze jednemu krajowi, z ujmą drugiego, potężniejszego, do którego sam należy...

Wysocki znów przeszedł się po pokoju, poczem spytał:

— A cóż więcej opowiada Jezierski?

Roślakowski machnął lekceważąco ręką i odrzekł:

— Jezierski, jak to Jezierski... Powrócił z Petersburga zadowolony, przekonany, że wielkich rzeczy dokonał, że conajmniej Polskę od zguby uratował, a po drodze rozpuszczał wieści tak przerażające o potęgę rosyjskiej, o mnogości wojsk, które na poskromienie powstania zewsząd śpieszyły i tą gadatliwością swoją demoralizował słabsze umysły, a patryjotów doprowadzał do takiego oburzenia, że w Zegrzu oficerowie z dywizji Krukowieckiego zamierzali go wrzucić do Narwi i tylko przytomność i energia generała uchroniły niefortunnego posła od zimnej kąpieli... Wreszcie nadjechał oficer od dyktatora z rozkazem, aby Jezierski zachował jak najciszejsze milczenie. Odprowadzony do rogatek warszawskich, przybył tu trzynastego w nocy, a nazajutrz rano miał posłuchanie u Chłopickiego...

— A cóż zrobił Chłopicki?

— Zwołał zaraz Radę Narodową, odczytał jej pisma otrzymane i zapytał stanowczo: „Czy jesteście za zastosowaniem się do woli cesarza i króla, lub też za wojną?“... Na to zabrał głos Czartoryski i odrzekł:

„Jeżeli wszelkie środki honorowego, godnego i korystnego traktowania są już wyczerpane i tylko podanie się ma pozostać, natenczas niema ani kwestji, ani wyboru. Jedna droga pozostaje, droga powinności i honoru. Weźmijmy się do broni i z bronią w rękę szukajmy niepodległości lub śmierci.“

— A cóż na to reszta Rady?...

— Wszyscy jednomyślnie przychyliłi się do zdania Czartoryskiego, jeden tylko dyktator inaczej rzecz całą pojmował, a, widząc tak znaczną większość przeciw sobie, zaczął kręcić, aż wreszcie oświadczył, że Sejm zwoła, ażeby on rozstrzygnął, czy ma być wojna, czy pokój... Jakoż gdy wyjeżdżałem, ogłoszono już uniwersał, zwołujący izby na dzień 17 stycznia...

— Czyżbyż Chłopicki był do tego stopnia zaśle-

piony, że tylko w carze widzi jedyny dla Polski ratunek?... czyż nie posiada on żadnej ufności w siły narodu?... nie wierzy w zwycięstwo?... — zapytał i siebie i Roślakowskiego Wysocki...

— Chłopicki to wielce dziwna natura, — odrzekł mu na to Roślakowski: — góruje w nim nad wszystko upór, który przeszkadza mu w ujawnieniu prawdziwych uczuć... Jestem głęboko przekonany, że podziela on w głębi duszy zdanie ogółu, że kryje on tam zgoła inne uczucia od tych, jakie wyraża słowami, lecz upór, jakaś szatańska skłonność przeciwstawiania innym swego zdania, nie pozwalają mu na ujawnienie tychże... Opowiadają naprzykład, że po odczytaniu Chłapowskiemu listu od cara, w którym tenże dziękuje dyktatorowi za utrzymanie porządku w Królestwie i nakazuje koncentrację wojska polskiego w Płocku, rzucił go z gniewem na ziemię, wołając: „Co on sobie myśli, że ja dla niego, a nie dla kraju utrzymuję porządek?... żartuję ja sobie z cesarza“, — poczem podniósł ten list z ziemi i wrzucił w ogień... Lecz szlachetne to oburzenie krótko trwało, upór wziął górę, i teraz wszystko już zależy od Sejmu...

Czas pewien trwało milczenie. Wysocki siedział pogrążony w zadumie nad losami narodu, rzuconego na pastwę kapryśnego, rozhisteryzowanego wodza, i rozmyślał nad tem, jak się on zachowa w czasie nieuniknionej, zdaniem jego, wojny, jakie nowe przeszkody wymyśli pełen fantazji umysł jego, wreszcie spytał:

— A czy myśli on o wojnie?... czy przygotowuje się do niej?...

— Nie można tego powiedzieć, — odrzekł Roślakowski: — w samej rzeczy czyni on przygotowania do niej, choć są one trochę spóźnione... W sztabie wre praca, odbywają się rady wojenne, w których sam Chłopicki bierze udział, rozkłada mapy, kreśli plany,

przyspieszył też organizację trzecich bataljonów i piątych i szóstych szwadronów, nieudolnych regimentarzy zastąpił wszędzie w województwach generałami, ba! pozwolił nawet na nawiązanie stosunków z obywatelami litewskimi i żmudzkiemi...

Odetchnął na tę wiadomość Wysocki. A więc Chłopicki, mimo swej niewiary w powodzenie rewolucji, nie zaniedbał najważniejszej rzeczy, nie zlekceważył sprawy przygotowań wojennych, nie dopuścił do tego, ażeby wróg zaskoczył Polskę nieprzygotowaną do dania mu odporu...

Późna noc już była, gdy udał się na spoczynek, lecz usnąć nie mógł, dręczony wciąż troską o przyszłe losy rewolucji... Postanowił też czempredzej kończyć włożone na niego zadanie i wracać do Warszawy, gdy dzień następny przyniósł mu nowe a wielce ważne wiadomości...

Pod wieczór się już miało, gdy po przeglądzie oddziałów, wróciwszy do swej kwatery, zastał tam już porucznika Młodeckiego, przybyłego z Warszawy, który na przywitanie oświadczył mu:

— Nie masz już dyktatora...

Wysocki stanął jak wryty, ogłuszony tą wiadomością, wreszcie po chwili spytał:

— Jakto?... Co się stało z Chłopickim?...

— Chłopicki zrzekł się dyktatury...

— Opowiadaj, jak się to stało, — rzekł już spokojniej Wysocki.

— Nazajutrz po posiedzeniu Rady, na którym Chłopicki zakomunikował treść odpowiedzi cara, — zaczął opowiadać Młodecki: — udała się do Chłopickiego deputacja sejmowa i zażądała posłuchania. Chłopicki przyjął ich i wypowiedział, tak jak i przedtem, swe zdanie otwarcie; oświadczył, że wojny Polsce nie życzy, bo wojska mamy 37.000, a Moskwa w 150.000 ku nam ciągnie, i że rzecz przez układy za

pośrednictwem rządu pruskiego kończyć należy... Nad tem wszczęła się dyskusja; członkowie deputacji starali się przekonać dyktatora, on zaś, silnie stojąc przy swoim zdaniu, wpadał w coraz większy zapał, wreszcie Czartoryski, chcąc koniec położyć sporom, uczynił wniosek, aby dyktator — jeżeli już żadną miarą dotychczasowej władzy zatrzymać nie chce — zachował naczelne dowództwo nad wojskiem. Chłopicki i na to się nie zgadzał.

— Nie, nie, — wołał: — wodzem nie będę, bo pobitym być nie chcę!...

Wtedy Ledóchowski, człowiek równie gwałtownego charakteru, zniecierpliwiony uporem dyktatora, a niewiele liczący się ze słowami, krzyknął:

— Ale być musisz, bo my ci rozkazujemy!...

Tyle było potrzeba, aby Chłopickiego w szaloną wprowadzić furję...

— Nie będę, — wrzasnął: — szelmą będę, jeżeli przyjmę dowództwo od Sejmu!...

— Musisz się bić! — uderzając pięścią w stół, krzyknął jeszcze mocniej Ledóchowski: — jeżeli nie jako wódz, to jako żołnierz, bo Sejm ci każe, a jeżeli nie wypełnisz rozkazu, to Sejm cię za tchórza, za zdrajcę ogłosi...

Na to dyktator, tupiąc nogami, jednym uderzeniem pięści wywalił drzwi i upadł na ziemię, wołając zapieniony:

— Będę się bił, będę, lecz i ty Ledóchowski będziesz także musiał się bić...

Na tem posłuchanie się skończyło... Deputacja sejmowa wyszła strwożona, a Polska niema od tej chwili dyktatora...

Wysocki słuchał tej relacji i z niepokojem, przejęty lękiem przed wstrząśnieniami, jakie w chwili tak ważnej i krytycznej Polsce groziły, wreszcie spytał:

— A kto rząd sprawuje?...

— Rada Narodowa... Lecz ja przybywam tu do ciebie od Klubu Patrjotycznego, ażebyś natychmiast przybywał do Warszawy...

— Lecz czyż mogę, — rzekł bezradnie Wysocki: — zadania mego nie skończyłem jeszcze, a byłoby to wykroczeniem przeciwko subordynacji...

— Głupstwo, — odrzekł mu na to Młodecki: — permisję łatwo od ministra wojny uzyskasz, a głos twój, jak twierdzi Mochnecki, wiele może przy wyborze nowego wodza naczelnego zaważyć...

Zamyślił się Wysocki... Tak pragnął być w Warszawie w chwilach tak ważnych dla kraju, zdawał sobie sprawę, że głos jego rzeczywiście mógł zaważyć na szali wypadków, że mógł powstrzymać popularnością swoją od wielu wybryków, lecz... czyż on, który subordynację na pierwszym zawsze stawiał planie, mógł dawać przykład nieposłuszeństwa tej subordynacji i łamania jej...

Rozwagał to w milczeniu przez czas dłuższy... Wreszcie obowiązek wobec rewolucji przemógł, i cichym głosem rzekł:

— Jadę...

XI.

Po przyjeździe do Warszawy Wysocki wpadł wprost w odmęt toczonej walki stronnictw, już to popierających Sejm i Chłopickiego, już to ich zwalczających...

Na widownię wypłynął znów Mochnecki, który, nie mogąc wytrzymać zdala od Warszawy, powrócił do niej już 14 grudnia, lecz, obawiając się Chłopickiego i niedawnych przeciwników swoich, siedział przy czajony, zabierając tylko od czasu do czasu głos w nowozałożonym tygodniku „Nowa Polska“...

W miarę jednak chylenia się ku upadkowi władzy

Chłopickiego, poczynął występować coraz śmielej, aż wreszcie w dniu upadku dyktatora rzucił myśl wskrzeszenia Towarzystwa Patrjotycznego, do którego wciągnął najbardziej radykalne i zapalne żywioły, dążąc do rozciągnięcia wpływów na szerokie masy, na rzemieślników, na tłum uliczny...

Rzucane przez niego nader jaskrawe, o zabarwieniu socjalnem, hasła, znajdowały licznych zwolenników, skutkiem czego rósł w siłę, stając się potęgą, której lekceważyć nie było można...

Usiłował też wciągnąć do swojej akcji i Wysokiego, licząc na popularność nazwiska jego, lecz ten uchylił się od tego, mówiąc:

— Żołnierzem jestem, posłuszeństwo wodzowi jestem winien, a należenie do Klubu mogłoby wywołać kolizje...

W rzeczywistości zaś najwięcej zajmowała go sprawa wyboru wodza naczelnego na miejsce Chłopickiego...

Rada Narodowa powierzyła tymczasem dowództwo najstarszemu rangą generałowi Weysenhofowi, lecz o pozostawieniu go na stałe nie mogło nawet być mowy ze względu na ogólnie znane nałogowe pijaństwo jego...

Zastępcą jego został gen. Klicki, przykuty chorobą do łoża, a pomocnikiem obydwóch mianowano pocziwego, lecz Bogu ducha winnego Szembeka...

Żywioły radykalno-patrjotyczne wysuwały kandydaturę gen. Krukowieckiego, oficera dzielnego i w wojnach napoleońskich wstawionego, lecz mającego licznych wrogów w kołach umiarkowanych i rządowych...

Gdy też na wezwanie Józefa Szymanowskiego przybył on z Zegrza, przeciwnicy jego, przy pomocy prof. Lach Szyrmy i kilku innych profesorów obrobili tak młodzież, że gdy w dniu 19 stycznia zrana

Krukowiecki z Szembekiem przybyli na plac ćwiczeń i pierwszy z nich przemówił do żołnierzy, aby ratowali powstanie, powołując na wodza którego z generałów, odpowiedziano mu, że Sejm, dziś zbierający się, ma prawo stanowić w tym względzie i tego postanowienia oczekiwać należy..

Wysocki, myśląc, że w Sejmie znajdzie wreszcie rozwiązanie dręczących go zagadnień, udał się na posiedzenie jego w dniu 19 stycznia, ciekaw wielce, jak ci wybrańcy narodu wywiążą się z włożonego na ich barki obowiązku...

Otworzył sesję pompatycznym, pełnym patosu i pochwałą dla Chłopickiego, przemówieniem marszałek Ostrowski, unikający spojrzenia prawdzie w oczy i ujawnienia jej narodowi, a zakończył je patetycznym wezwaniem:

— Zginać raczej, jak z pokorą bić czołem, to haśle naszym niech będzie!... Zginać?... Nie tak to łątwo tłuszcza najemnego żołdactwa zgniecie lud męzny, walczący o byt swój, o wolność, o wszystko. Nie uważajmy na liczbę, uważajmy na ducha...

Zapanowała potem chwila kłopotliwego milczenia, i wreszcie rozwarły się upusty wymowy poselskiej...

Lecz wybrańcy narodu miast spraw ważnych, decydujących wprost o losie kraju, milczeli o nich wstydliwie, natomiast wywlekali sprawy błahe, nic nieznaczące, jak ułatwienie przez Henryka Łubieńskiego ucieczki Lubowidzkiemu, jak kwestja, czy posłowie, sprawujący urzędy, mogą być na komisarzy sejmowych obierani i t. p.

Wysocki z bólem w sercu i goryczą słuchał tej istnej powodzi wymowy poselskiej w sprawach drobnych i błahych, tego dobijania się posłów o głos, jakby od przemówienia jego los kraju zależał, tej dyskusji namiętnej, lecz nudnej, nieskończonej, bezpłodnej...

Przerwał ją dopiero kasztelan Wodziński, zjawiw-

szy się w Izbie i zawezwawszy do połączenia się z Senatem, celem dokonania obioru rządu i wodza...

Sprawę tą, jako najważniejszą, poruszył w swem przemówieniu ks. Czartoryski, mówiąc:

— Macie szanowni mężowie zaprowadzić rząd odpowiedni obecnym gwałtownym okolicznościom, rząd silny, zdolny poruszyć wszystkie kraju zasoby; macie wybrać naczelnego wodza, któryby rycerzów Polski do zwycięskiej walki poprowadził. Przez czyn pamiętnej rewolucji uzyskaliśmy w krótkich dniach zupełną wolność. Mądre jej użycie od nas zawisło. Sobie zostawieni, sami też sobie radzić musimy i tem się pokazać, czem istotnie jesteśmy...

Jednak ani posłowie, ani senatorowie nie chcieli teraz zajmować się tą sprawą, odkładając wybór rządu na później, a wybór wodza naczelnego, który uznano za ważniejszy, do dnia następnego, celem zasięgnięcia wpierv zdania wojskowych...

Według zdobytych przez Wysockiego relacji, w tym celu dnia tego wieczorem zgromadziło się u gen. Klickiego 55 wyższych oficerów i ci odbyli próbne głosowanie. Rezultat był następujący: książę Michał Radziwiłł otrzymał głosów 17, Szembek 12, Krukowiecki 10, Weyssenhof 8, Pac 6, Wojczyński i Skrzynecki po jednym.

Radziwiłł, który niegdyś służył wojskowo i brał udział w oblężeniu Gdańska, najzaciejszy obywatel i patriota, czuł dobrze, że tak trudnemu zadaniu nie podoła. Gotów do wszelkich poświęceń dla sprawy publicznej, nietylko nie myślał o buławie, ale wręcz ją odrzucił.

— Byłem wprawdzie żołnierzem, — mówił: — i szlif generalskich się dosłużyłem, ale tak przeznaczenie chciało, iż nawet na żadnej wielkiej batalji się nie znajdowałem. Gdańsk szturmowałem i tegoż samego miasta bronilem pod obcą komendą, oto cała

moja karjera wojskowa. Nie czuję w sobie wyższych talentów, a doświadczenia nie nabrałem. Przyjęcie zatem hetmaństwa w mojem przekonaniu nie byłoby zasługą, ale występkiem...

Drugi kandydat, gen. Szembek, oświadczył wręcz:

— Pójdę na wojnę, będę się bił i dam się zabić, jeżeli będzie potrzeba, ale na wodza niech mnie nie podają, bo nie jestem zdatny, a więc nie przyjmę...

Gen. Pac znów oświadczył, że nie posiada głowy militarnej, tak, że pozostawał jeden Krukowiecki, zdaniem Wysockiego i wielu innych oficerów, najodpowiedniejszy na to stanowisko, lecz miał on przeciw sobie sfery umiarkowane i rządowe...

Szałę przechyliło jednak zdanie Chłopickiego, który, porzucając swoje kaprysy, oświadczył, że o ile Radziwiłł zostanie wodzem, nie odmówi mu swoich rad i usług..

Sprzeciwił się tej kandydaturze marszałek Sejmu, Ostrowski, który wybór Radziwiłła uważał za nie szczęście dla powstania i kraju, lecz przegłosowano go i komisja sejmowa postawiła na pierwszym miejscu kandydaturę księcia, a obok niego, dla ratowania pozorów, umieściła dwóch najnieudolniejszych, Szembeka i Weyssenhofa, na żądanie zaś Ledóchowskiego dodano jeszcze i Krukowieckiego.

Wynik głosowania jednak nie mógł być wątpliwym..

Gdy ks. Czartoryski odczytywać zaczął: ks. Radziwiłł otrzymał 107 kresek, gen. Krukowiecki i Weyssenhof po 8, cała Izba rozbrzmiała donośnemi okrzykami:

— Niech żyje Radziwiłł!... Niech żyje Ojczyzna!...

Wtedy nowy wódz, wzruszony bardzo, przemówił rozrzewnionym głosem:

— Posłuszny woli narodu, krótko powiem: czem byłem, tem będę...

Radości Izby nie podzielał Wysocki, który znając nieudolność Radziwiłła, wspartego przez pełne kaprysów i przeciwne powstaniu rady Chłopickiego, przewidywał stąd najfatalniejsze skutki dla sprawy...

Lecz w uniesieniu ogólnem nie zwracano na to uwagi, zwłaszcza że posuwające się szybko wypadki nie pozwalały na to...

Nawet Lelewel w odezwie swej do wojska witał z uznaniem ten wybór, pisząc między innymi:

„Wraca wódz naczelny na pole sławy rycerstwa narodowego, ożywiony najczystsze Polaka uczuciem. Posiadając serca rodaków, powiedzie dzielne rycerstwo w swoje rodzinne ziemie, gdzie mamy naszych ujarzmionych ziomków oswobodzić. Niezgasła chwałą okryte wojsko polskie, pełne męstwa i dzielności, niecierpliwie czeka tej chwili, w której nowe zwycięstwa, nowe wieńce na ołtarzu składać będzie“..

Lecz Lelewel w czasie owym zajęty był inną sprawą... Przejęty myślą o połączeniu z Królestwem ziem Litwy i Rusi, o co ustawicznie staczał utarczki z Chłopickim, stanowczo operującym się temu i odrzucającym bezwzględnie wszelkie prośby w tym kierunku wysłańców ziem zabranych, — korzystając z upadku dyktatora, wspólnie z bankierem Wereszczyńskim z Odesy zaczął zbierać na narady przebywających w Warszawie obywateli z Litwy i Rusi, a utworzywszy z nich Towarzystwo „Braci Zjednoczonych“, którego prezesem został obrany, rzucił myśl utworzenia legji litewskiej i wołyńskiej, oraz złożenia Sejmowi adresu, będącego aktem przystąpienia do rewolucji...

Myśl tę skutecznie pod adresem zebrano 200 podpisów.

W dniu 24 stycznia w Izbie poselskiej zjawiała się delegacja mieszkańców Litwy i Rusi, i w obecności zebranych posłów, uroczyście wręczyła adres Lelewelowi..

Scena ta poruszyła Sejm, a Lelewel, wszedłszy na trybunę, zabrał głos..

Wspomniawszy o wiekowych związkach, łączących Polskę z krajami, wchodzącymi w skład dawnej Rzeczpospolitej, mówił:

— Litwa, Wołyń, Ukraina i Podole, zawsze nieodstępne powszechnej sprawie, i dziś obracają swe oko na Polskę. Zawsze jeden duch, jeden interes ożywia i kierował ich krokami i dziś również do tegoż skierowane są celu, wyglądając z upragnieniem pomocy..

Następnie odczytał adres, ułożony w słowach pięknych i mocnych, a wypominający ucisk i krzywdy panowania rosyjskiego w tych krajach.

„Odkąd rewolucja,—brzmiał końcowy ustęp adresu: — przybrała charakter narodowy, niezbędnem stało się odzyskanie ziem oderwanych, bo z niemi tylko powstanie odpowie wysokiemu powołaniu swemu i niepodległość ojczyzną ustali. Obwieścimy więc światu, że wola i sprawa nasza do Dźwiny i Dniepru jedną jest i nierozdzielną: że wszyscy składamy jedną Polskę; że reprezentacja narodowa równie jedną jest i nierozdzielną, a Sejm tylko prawnie stanowi... Na was, reprezentanci narodu, zlewamy sumienną reprezentację Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy, a ufni waszym cnotom publicznym, losy reszty Polski w wasze ręce składamy“...

Odczytawszy adres, Lelewel wyraził nadzieję, że Sejm zwróci baczną uwagę na ujarzmionych rodaków i będzie wspierał ich usiłowania...

W odpowiedzi na to rozległy się jednomyślne okrzyki, zwiastujące przyjęcie adresu, poczem marszałek Ostrowski zabrał głos i w serdecznych słowach dziękował zacnym mężom za wyrażone uczucia. Wyraziwszy pewność, że unja Korony, Litwy, Wołynia,

Podola i Ukrainy nastąpi na nowo, przemówienie swoje zakończył okrzykiem:

— Niech żyje Polska w odwiecznych swoich granicach!...

Okrzyk ten trafił do serc wszystkich i dreszcz wzruszenia przebiegł ławy poselskie. Wszyscy odczuli, że przyjęcie adresu nowe kształty nadaje myśli powstańczej, której nie chodzi już o gwałty i wykroczenia przeciw Konstytucji, ale o Polskę wolną i niepodległą, o potężne państwo polskie, godne wielkiego narodu i jego tradycji historycznej...

Adres zakomunikowano Izbie senatorskiej, a następnie odesłano do komisji, która odpowiedź Sejmu poleciła zredagować Lelewelowi...

Wysocki opuszczał to posiedzenie przejęty i wzruszony... Zdawało mu się, że rewolucja dopiero teraz znalazła swój wyraz i cel... Dzielił się też wrażeniami swemi z idącym tuż obok niego Mochnackim, który słuchał go w milczeniu, poczem odrzekł:

— Tak, to było piękne, lecz cokolwiek zapóźno zrobione... To wznowienie unji powinno być nastąpić na samym początku rewolucji, i nie w Warszawie, a w Wilnie, po rozgromieniu korpusu Rozena, a nie teraz, gdy armja Dybicza wkracza na ziemię polską... To wszystko czcza formalność, a sprawa narodowa wymaga czynów, których nie widać...

Wysocki, pod wrażeniem słów jego, jakby obłany zimną wodą, zatrzymał się i spytał drżącym głosem:

— Skąd masz wiadomość o Dybiczu?...

— Nie wiesz nic o tem? — odrzekł spokojnie Mochnacki: wczoraj późnym wieczorem Rada Narodowa otrzymała dwie odezwy od Dybicza, w których oznajmia, że, będąc mianowanym przez cara wodzem naczelnym armji rosyjskiej, wkracza w granice Kró-

lestwa i wzywa mieszkańców do uległości, a wojsko polskie do złożenia broni...

— A więc wojna się zaczyna? — spytał Wysocki...

— Tak, wojna się zaczyna, do której dzięki Chłopickiemu i rządowi nie jesteśmy wcale przygotowani, i co najważniejsze, nie mamy wodza, któryby ją poprowadził...

— A Chłopicki?... Wszakże przyrzekł wspierać Radziwiłła radą... Przecież chyba w razie wojny ocknie się w nim wódz...

— Chłopicki..., — lekceważąco wzruszył ramionami Mochnacki: wysunął Radziwiłła, gdyż liczy na to, że dzięki jego spokrewnieniu z dworem pruskim, uda mu się przy pośrednictwie tegoż przeprowadzić negocjacje z carem i uzyskać dogodne warunki... Wierzaj mi, że ze wszystkich Polaków, Chłopicki najmniej myśli o wojnie... Co tam dużo gadać, lecimy w przepaść, w której i rewolucja, i my, i Polska zginiemy bez śladu...

Wysocki, przerażony roztoczonym przed nim ponurym obrazem, któremu w głębi duszy przyznać słuszność musiał, zatrzymał się i chwytając Mochnackiego za rękę, spytał:

— Co zatem czynić?...

— Co czynić?... Obalić Chłopickiego, rząd, rozwiązać Sejm, a powołać do steru ludzi, którzyby tylko o sprawie rewolucji myśleli... Na czele wojska postawić człowieka, któryby o wojnie myślał i znał się na niej... Ot co... To jedno sprawę uratować może...

— Ależ to rewolucja w rewolucji... To może sprawę zgubić i wywołać wojnę domową...

— Lepiej zawczasu uciec się do środków radykalnych i zło tą drogą usunąć, niż patrzeć biernie, jak ci fałszywi patrioci stopniowo kraj cały do zguby prowadzą, — odrzekł Mochnacki...

XII.

Zgnębiony do ostatecznych granic wiadomościami, postłyszaniem od Mochnackiego, Wysocki rozmyślał nad nimi prawie że do świtu, a zaledwie zasnął, zbudził go wkrótce odgłos żywej utarczki, staczanej przez Szymka z kimś w przedpokoju...

Nasłuchiwał przez chwilę, wreszcie przywołał Szymka. Wpadł ten zaperzony i na zapytanie:

— Kto tam? — odrzekł.

— Melduję posłusznie panu porucznikowi, że oficer jakiś... mówi, że jest adjutantem wodza naczelnego, że w ważnej przybywa sprawie, i żeby duchem budzić pana porucznika...

Porwał się Wysocki... Co może żądać od niego b. minister wojny, a obecnie nowy wódz naczelny?... Czyżby nowa delegacja i usunięcie w ten sposób z Warszawy?...

— Dawaj mundur, — huknął na Szymka: i proś pana oficera do pokoju...

W parę minut był gotów i gdy stanął na progu przyległego saloniku, zobaczył tam stojącego młodzieńczego adjutanta, który po przywitaniu rzekł mu:

— Panie podporuczniku, wódz naczelny prosi pana o natychmiastowe przybycie...

— W jakiej sprawie? — spytał Wysocki.

— Nie wiem, tylko mam panu zameldować, że wódz naczelny pragnie go widzieć przed sesją sejmową...

— W tej chwili będę gotów na rozkazy wodza naczelnego, — rzekł Wysocki i zniknąwszy za drzwiami sypialni, dokończył spiesznie ubierania się, włożył płaszcz, przypiął szpadę i w parę minut potem, wsiadłszy z adjutantem do oczekującego na nich koczka, pomknęli ul. Szpitalną do gmachu naczelnego dowództwa.

Na ulicach miasta widać było ruch niezwykły, a na twarzach przechodniów widać było podniecenie, jakby oczekiwanie czegoś niezwykłego... Widać wieści o niezwykłym posiedzeniu Sejmu i mających zapasć na niem decyzjach, jak również i o manifestacjach, urządzanych przez Tow. Patrjotyczne, dotarły już do tłumu i wywołały ten nastrój...

W kancelarji wodza naczelnego przywitał go Krysiński, lecz tym razem już nie nadęty i pyszny, a obleśnie uśmiechnięty, uprzejmy, grzeczny, nieomal unizony...

Zdziwiła ta zmiana Wysockiego, który nietyle z obawą, ile z ciekawością oczekiwał na wyjaśnienie powodów wezwania go przez wodza naczelnego...

Adjutant, który znikł w drzwiach gabinetu Radziwiłła, ukazał się po chwili i rzekł:

— Wódz naczelny prosi pana...

Wysocki wszedł do gabinetu, gdzie ujrzał stojącą przy biurku ociężałą, pochyloną przez wiek, siwowłosą postać Radziwiłła, z pocziwym uśmiechem patrzącą na niego...

Stanął w pozycji na baczność, a Radziwiłł, wyciągając do niego rękę, rzekł:

— Panie kapitanie, nadeszła chwila, kiedy wszyscy musimy się zjednoczyć dla zaciętej walki z bliskim już niebezpieczeństwem, w obronie wolności... Znany mi jest gorący patrjotyzm pana, znany wpływ twój na umysły młodych oficerów, wśród których umiesz niecić zapał i poświęcenie... Dlatego pragnąłbym cię mieć przy boku moim... W nagrodę twych zasług, twej cnoty rycerskiej, mianuję cię kapitanem i jednocześnie moim adjutantem polowym...

Wzruszenie ścisnęło za gardło Wysockiego... Oto przychodziła nagroda i uznanie za czyny jego, ten pocziwy starzec, z dobrotliwą, ojcowską twarzą, tak

różny od suchego, wyniosłego Chłopickiego, ocenili go... Lecz naraz błysnęła mu myśl, że tą drogą może chcą mu zapłacić za to, co zrobił, chcą go kupić, zjednać...

Spreżył się więc i odrzekł:

— Panie generale... Nie dla tej nagrody, nie dla rang zrobiłem to, com zrobił... Dla Ojczyzny... prostym żołnierzem służyć będę, byle tylko móc walczyć o Polskę... Wielu jest godniejszych odemnie...

Uśmiechnął się na to Radziwiłł i podając mu papiery z nominacją, rzekł:

— Rozumiem i oceniam twą skromność, kapitanie, zwłaszcza wobec tych niezliczonych, którzy bez żadnych zasług tłoczą się do nas, byle tylko zdobyć rangi i stanowiska... Lecz wierz mi, że to co czynię, jest zbyt skromnem w stosunku do zasług twoich... A chcąc cię mieć przy boku swoim, muszę ci dać rangę, któraby i posłuch i poszanowanie ci jednała...

Spojrzał następnie na zegarek i dodał:

— Za godzinę jadę do sejmu, chcę, ażebyś mi towarzyszył już w nowej roli... Sądzę, że przez ten czas wystarasz się o dystynkcje i oznaki...

A kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł na zakończenie:

— Wiedz kapitanie, że gdyby wszyscy byli tacy, jak ty, z mniejszą troską patrzyłbym w przyszłość...

Wysocki wyszedł z gabinetu wzruszony i przejęty, z roztargnieniem przyjmował powinszowania adjutantów i Krysińskiego, podziękował im, poczem poinformowawszy się o adres najbliższego krawca wojskowego, podążył tam, by choć tymczasem zmienić dystynkcje i oznaki podporucznika na kapitańskie...

Nie minęła jeszcze godzina, gdy wrócił i wtulony w kąt kancelarji oczekiwał na wyjście wodza naczelnego...

Ruch panował tam wielki, biegali adjutanci, ordynansi i urzędnicy, na niego nikt już nie zwracał uwagi...

Wreszcie na progu ukazał się Radziwiłł, otoczony sztabem, a rozejrzawszy się po kancelarji i dojrzawszy go, rzucił:

— Jedziesz ze mną, kapitanie...

Spostrzegł Wysocki cień zazdrości na twarzach innych adjutantów, przykro mu się zrobiło, gdyż nie zabiegał, nie pragnął nawet tego wyróżnienia, lecz posłuszny rozkazowi podążył za wodzem naczelnym...

W powozie zajął miejsce na przedniej ławeczce, nawprost Radziwiłła i Szembeka...

Na ulicach tłumy witały nowego wodza okrzykami, znacznie jednak mniej entuzjastycznymi, niż Chopickiego...

Plac Zamkowy był przepełniony tłumem tak, że powozy z trudem torowały sobie wśród niego drogę...

Na podnóżu kolumny Zygmunta dojrzał Wysocki Adama Gurowskiego, w czerwonej czapce z białym piórem na głowie, wygłaszającego jakąś mowę plomienną, w skupieniu słuchaną przez zebranych...

Domyślił się Wysocki, że jest to manifestacja, urządzona przez Tow. Patrijotyczne, o której mówiono mu wczoraj, a o szczegółach jej dowiedział się dopiero w Sejmie.

Oto na placu Kazimierzowskim, przy uniwersytecie, od samego rana zgromadziły się tłumy publiczności, oczekując na ukazanie się pochodu... Wreszcie wyruszył... Poprzedzał go młody kapitan gwardji, niosący na żalobnej poduszce kokardę trójbarwną, rewolucyjne godło wolności międzynarodowej. Za nim postępowali w mundurach gwardji narodowej akademicy, których noc 29 listopada z więzienia Karmelitów wyzwoliła. Na skrzyżowanych karabinach nieśli oni

trumnę, obitą czarnym kirem, z wieńcem laurowym, przeplecionym wstęgami trójbarwnymi. Na pięciu tarczach z boku trumny wyryte były nazwiska pięciu rewolucjonistów rosyjskich, „dekabrystów“, straconych z rozkazu Mikołaja: Pestela, Rylejewa, Bestużewa, Murawjewa i Kachowskiego.

Za trumną kroczył oddział akademików, z bronią spuszczoną ku ziemi, a nad nimi wznosił się i rozwiewał na wietrze błękitny sztandar uniwersytecki, przewiązany kokardą z czarnej krepy...

Pochód zamykały oddziały gwardji oraz tłumy publiczności, kroczącej w ordynku, z powagą i dostojestwem.

Przeszedłszy Krakowskim Przedmieściem na Plac Zamkowy, gdzie wysłuchano przemówień, podkreślających, że naród polski żadnej niechęci ku Rosjanom nie żywi, że chce z nimi zawsze w zgodzie pozostać, i jeżeli zrywa się do walki, to tylko dla zabezpieczenia własnej wolności, i że nie chce walczyć z narodem rosyjskim, a z uciskającą oba narody władzą absolutną...

Z Placu Zamkowego udano się na Podwale, gdzie w cerkwi odprawiono nabożeństwo, poczem ulicami Senatorską, Miodową, Długą, Leszkiem, udano się na Plac Saski, gdzie wygłoszono jeszcze szereg przemówień...

Wysocki, stojąc za krzesłem wodza naczelnego, patrząc na wzburzoną Izbę poselską i na podniecony tłum na galerji, słuchając krzyżujących się zdań, czuł, że dnia tego zajdzie coś niezwykłego, coś, co będzie faktem zwrotnym w dziejach nie tylko powstania, ale i narodu...

Na trybunie sejmowej niefortunny poseł do cara, Jezierski, zdawał relację ze swojej misji, i nie stropiony bynajmniej wrogimi okrzykami oburzenia ga-

lerji i wielu posłów, szczegółowo opowiadał, jak starał się ułagodzić wzburzonego cara i jak odwoływał się do łaski carskiej...

Co chwila padały okrzyki:

— Niegodnie!... Niehonorowo!... — które przeszły w istną burzę, gdy powtórzył słowa cara:

— Winienem, jako król polski, przytłumić powstanie i ukarać winowajców... Lecz jeżeli Polacy uzbroją się przeciwko mnie i staną w gotowości do walki z wojskiem pana swego, natenczas oni sami i wystrzał z ich armat obalą Polskę i sami staną się odpowiedzialnymi za nieszczęścia swojej ojczyzny...

Podniecenie doszło do szczytu, lecz wybuch powstrzymał sędziwy Niemcewicz, który drżącym głosem starał się usprawiedliwić Lubeckiego i jego działalność...

Słowa jego przyjęła Izba w milczeniu, z uczuciem szacunku dla czcigodnego męża, wyższego nad wszelkie zarzuty...

Po wysłuchaniu listu Jezierskiego do gen. Benckendorfa, w którym tenże przytaczał mnogie przykłady pogwałcenia konstytucji w Królestwie, wysłuchano relacji o drugim i ostatnim posłuchaniu u Mikołaja, poczem zabrał głos kasztelan Kochanowski i stanąwszy w obronie Jezierskiego, nawoływał zebranych do unikania domowej niezgody i zbytecznej jednych przeciw drugim podejrzliwości...

Wśród ogólnego gwaru, wśród padających zewsząd ostrych słów, wszedł na trybunę poseł Wieszczycki i w ostrych słowach uderzył na Lelewela i Niemcewicza, zarzucając im, że Lubeckiego w rządzie utrzymali, kiedy on, jak się odzywały głosy, działał podstępnie, zdradził sprawę narodową, omamił Chłopckiego.

Zarzutów tych nie mógł pozostawić bez odpowie-

dzi Lelewel i wszedłszy na trybunę, odpiął je z godnością i spokojem, mówiąc na zakończenie:

— Powtarzam, iż wojna w początkach rewolucji nie zdawała się była stanowić rozbratu z Rosją; powtarzam, iż ją doradzał książę Lubecki. Niechaj się wojna rozpocznie, mówił on, niechaj król konstytucyjny walczy z cesarzem samowładnym, a rewolucja przez to samo rozwinąć się musi...

Wzburzenie na sali rosło, potężniało. Przyczyniały się do tego napływające do niej coraz świeże wieści o przebiegu manifestacji, urządzonej na mieście przez Tow. Patryjotyczne...

Obserwowała bacznie nastrój ten obecna na posiedzeniu siostra marszałka Ostrowskiego, pani Michałowa Potocka, i nakreśliwszy na karteczce słów parę, przesłała je bratu przez służącego...

„Zaklinam ciebie, skorzystaj z chwilowego uniesienia, wnieś detronizację, inaczej nie uznajm ciebie za brata mojego“, — odczytał marszałek i skinieniem głowy dał znak siostrze, iż zrozumiał i wykona jej żądanie.

Gdy Lelewel skończył swe przemówienie, gdy zapanował po niem gwar zmieszanych głosów, wstał marszałek Ostrowski i trzykrotnem uderzeniem laską w podłogę dał znak, że pragnie przemówić...

Uciszyli się wszyscy, a wtedy uroczystym głosem rzekł:

— Panowie posłowie i senatorowie, nadeszła chwila stanowcza, która o losach wszystkich decydować będzie...

A gdy w sali głębokie zapanowało milczenie, oświadczył:

— Wnoszę pod rozwagę wniosek posła Romana

Sołtyka, złożony do łaski marszałkowskiej w dniu 20 stycznia, a domagający się detronizacji dynastji Romanowych...

Cisza jeszcze trwała w sali, gdy na trybunie stanął kasztelan Ostrowski, brat marszałka, i w długiej, kunsztownie ułożonej mowie, domagał się, aby natychmiast, z pominięciem wszelkich formalności, rzecz całą rozstrzygnięto, i tron polski za wakujący ogłoszono...

Wywody jego jednak nie wywołały należytego wrażenia... Posłowie i senatorowie trwali w milczeniu, jakby lękiem przejęci przed tą stanowczą a śmiałą decyzją, która oznaczać miała ostateczne zerwanie z Rosją, rzucenie rękawicy carowi na jego wezwanie, wojnę...

Widząc to, wstąpił na trybunę poseł Franciszek Wołowski, i w słowach energiczniejszych, płomienniejszych zachęcał zebranych do powzięcia decyzji, kończąc swe przemówienie okrzykiem:

— Dziś jeszcze w obliczu Europy wyrzeczemy, że Mikołaj przestał nad nami panować...

Lecz i to nie wywołało pożądanego skutku... Sala poselska nie odpowiedziała zapalem na to wezwanie, tylko galerja zareagowała na nie pojedynczymi okrzykami...

Wtedy porwał się z miejsca swego poseł Ledóchowski, i stanawszy pośrodku sali z rozkrzyżowanymi ramionami, potężnym basem ryknął:

— Panowie, co jest w naszych sercach, niech wyjdzie przez usta nasze! wykrzyknijmy więc wszyscy: niema Mikołaja!...

Tu już peżyły tamy, powstrzymujące posłów; porwani tem wezwaniem powstałi z miejsc swoich, i w jednej chwili sala rozbrzmiała coraz bardziej potężniejszymi okrzykami:

— Niema Mikołaja!... Niema Mikołaja!...

A posłom wtórowała galerja, porwana trudnem do wypowiedzenia uniesieniem...

Długo rozbrzmiewał ten okrzyk:

— Niema Mikołaja!... Niema Mikołaja!...

A zapal ten był tak jednomyślnym, że Izby bez głosowania uchwaliły akt detronizacji króla Mikołaja...

O godz. 4 min. 15 po południu, dn. 25 stycznia 1831 r. car Mikołaj przestał być królem polskim...

Przystąpił wnet, na wniosek Ostrowskiego, sędziwy Niemcewicz do napisania aktu detronizacyjnego...

Brzmiał on jak następuje:

Najświętsze, najuroczystsze umowy, tyle tylko są nienaruszalnemi, ile wiernie dotrzymanemi z stron obydwóch. Długie cierpienia nasze, znane światu całemu; przysięgą zaręczone przez dwóch panujących, a pogwałcone tylekroć swobody; nawzajem i naród polski od wierności dziś panującemu uwalniają. Wyrzeczone nakoniec przez samego cesarza Mikołaja słowa, że pierwszy z strony naszej wystrzał stanie się na zawsze zatracenia Polski hasłem, odejmując nam wszelką sprostowania krzywd nadzieję, nie zostawiają, jak rozpacz szlachetną.

„Naród polski na Sejm zebrany oświadcza, że jest niepodległym ludem i że ma prawo temu koronę polską oddać, którego godnym jej uzna, po którym z pewnością będzie się mógł spodziewać, iż mu zaprzysiężonych swobód święcie i bez uszczerbku dochowa“.

Podpisywali ten akt posłowie i senatorowie jeden za drugim, a gdy przyszła kolej na ks. Czartoryskiego, ten, kładąc swój podpis na nim, rzekł pełnym smutku głosem do braci Ostrowskich:

— Zgubiliście Polskę!...

Dosłyszał te słowa stojący w pobliżu Wysocki i złożył je na karb znanych ogólnie przekonań księcia...

Daleko większem było zdumienie jego, gdy spotkawszy się tegoż wieczoru u Honoratki z przyjaciółmi, którzy mu szczerze i gorąco awansu winszowali, w czasie gorącej dyskusji na temat debaty sejmowej, posłyszał z ust Mochnackiego pełną ironji uwagę nad uchwałą sejmową:

— Dziecinne postanowienie, które większą szkodę niż pożytek rewolucji przynieść może...

Zdumiała go ta jednomyślność zdań ludzi, na dwóch krańcowo sprzecznych biegunach stojących, Czartoryskiego i Mochnackiego. Spytał też:

— Dlaczego uważasz ten akt za dziecinny i szkodliwy?...

— Bo pomyśl sam, — zaczął mówić podniecony Mochnacki: przecież, ściśle biorąc, złożenie z tronu Mikołaja przyszło do skutku jeszcze przed wnioskiem Sołtyka, bo to się stało w nocy 29 listopada; wtenczas powiedziała Polska: niema Mikołaja, zaś wykonanie tej uchwały, właściwiej ceremonja detronizacji, należała tylko do wojska narodowego i powstań, z tym jednakże warunkiem, że nigdzie, jak tylko w Wilnie i Kijowie dopełniona być mogła, bo car, mając w swem ręku Litwę i Ruś, zawsze jest królem, jest nim de facto, choćby go Sejmy w Warszawie tysiąc razy z tronu złożyły...

— Lecz jakaż szkoda z tego dla Polski wyniknąć może? — dopytywał się zatroskany szczerze Wysocki.

— Jaka szkoda? — zawołał Mochnacki; człowieku, ty jej jeszcze nie widzisz? Toć pod wpływem tej demonstracji niepotrzebnej, wojska rosyjskie przyspieszą teraz swe wkroczenie do Polski... teraz, gdy każdy dzień dla dopełnienia spóźnionych z winy Chło-

pickiego uzbrojeń jest ważny i pożądanym... A powtóre, utrudnia ona, w wysokim stopniu wszelkie działania dyplomatyczne, podając mocarstwu obojętnym, a nawet przyjaznym dla Polski rzeczywiste powody lub pozory do zaniechania wszelkiej interwencji...

— Ależ Sejm, ci przedstawiciele narodu, wiedział chyba, co czyni, uchwalając ten akt, — usiłował oponować Wysocki...

— Sejm! — z goryczą wyrzekł Mochnacki: ten Sejm... A więc posłuchaj, co o nim piszę w jutrzejszym numerze „Nowej Polski“...

I wyjąwszy z kieszeni arkusik papieru, odczytywać zaczął urywki artykułu swego, z uwagą słuchany przez otaczających:

„Dotychczas mniemano, jakoby tylko w języku francuskim bardzo wiele pisać i mówić można było bez treści, czczemi frazesami odpowiadającemi potrzebom rozmów salonowych lub dyplomatycznych układów. Lecz izby sejmujące przekonywują wzmiankowaną uchwałą, że i polskiemu językowi, który po wszystkie czasy służył z swej treściwości, ta własność służy“...

„Ludzie, wyrwani z łona pokoju, czyż nigdy powołania swego nie zrozumiecie?... Czyż do ostatki dni swoich mędrkować i politykować będziecie? czyż do ostatka trwać będziecie w mniemaniu, że reprezentujecie wolę i wyobrażenie nieszczęsnego narodu?... Kto mędrkuje nad przepaścią, źle czyni, bo zginie niepochybnie, i nikt nawet nad jego zgonem pochwalnego hymnu nie zaśpiewa. Zginie z musu, skutkiem własnej nieroztropności, a nie z natchnienia męstwa, które mężów zdobi. Dni wasze są policzone! wróg się zbliża z ogromnym wojskiem, — chce palić i niszczyć

posiadłości wasze! a wy nicujecie i odważacie słówka... Wobec was, wobec całej Europy, w obliczu nieba i ziemi oświadczam wam, żeście się do tej roli, którą teraz sprawujecie, nie zrodzili. Dobrymi, poczciwymi ludźmi jesteście; jesteście nawet dobrymi Polakami, lecz nie wiecie tego, co czynić potrzeba w obecnej chwili... Jedną wam radę podaję: złożcie namiestniczą narodu władzę; powróćcie do nicestwa, z którego was napróżno wyrwać chciała rewolucja... Uznajcie tem wspólnomyślnem zrzeczeniem się samych siebie za ludzi zdatnych do wszystkiego, ale nie do tej woli, którą wam los jakby przez ironję, przez szyderstwo i nągrywanie poruczył“.

„Trzeba zwołać kongres narodowy, bo ojczyzna jest w niebezpieczeństwie“...

Artykuł ten wywołał gorącą, a czasami nawet namiętną dyskusję zebranych, z których większość podzielała poglądy Mochnackiego...

Słuchał jej w milczeniu Wysocki, nie biorąc w niej udziału... W głowie jego panował zamęt straszliwy... W krzyżujących się poglądach i zdaniach nie mógł rozróżnić, kto ma słuszość, a kto nie... Czuł tylko jedno, że chwila groźna się zbliża, że nadchodzi chwila rozstrzygająca, która raczej zjednoczenia wszystkich, a nie rozdarcia jałowemi sporami wymaga... Czuł, że teraz tylko oręż winien przemawiać, a nie jątrzące, podburzające słowa...

Wymawiając się służbą, wstał, pożegnał się ze wszystkimi i wyszedł z kawiarni...

Na ulicach miasta, pomimo spóźnionej pory, snuły się jeszcze gromadki podnieconych ludzi, wykrzykujących radośnie: „Niema Mikołaja!“, lub wyśpiewujących pieśni patriotyczne...

A Wysocki szedł przed siebie, wpatrzony w mroczną, pełną zagadek dal i zapytywał siebie w głębi duszy:

— Azaliż po tym dniu jasnym, promiennym zorzą wolności, nadejść ma z m i e r z c h przegranej i straszna noc kłęski?...

K O N I E C.

Zakończeniem niniejszej powieści jest powieść p. t.
„W pętach bezwładu“.

P. T. Prenumeratory proszeni
są o przysyłanie na wszelkie reklamacje 25 gr. na odpowiedź, a na zmianę adresu 50 gr. w znaczkach pocztowych.

Administracja
Biblioteki Nowości
w Warszawie.

DO BIBLIOTEKI NOWOŚCI

W WARSZAWIE, SENATORSKA 29.

DEKLARACJA

Zamawiam prenumeratę Biblioteki Nowości w Warszawie, na pół roku, w estetycznej oprawie za 42 zł. lub w broszurze za 24 zł. — płatną odrazu, lub w czterech ratach miesięcznych po zł. 10,50 lub po zł. 6, lub prenumeratę wytworną w broszurze 48 złotych, płatną odrazu, względnie w czterech ratach miesięczn. à 12 zł.

Pieniądze wysyłam jednocześnie przekazem pocztowym, lub wpłacam na P.K.O. № 13,355.

Imię i nazwisko

Zawód

Miasto

poczta

U w a g a: Niepotrzebne skreślić.
Wyciąć, wypełnić i przesłać w zapieczętowanej kopercie.

Podpis



Do

Biblioteki Nowości

~~64545~~

63846 / 1-3

W WARSZAWIE
Senatorska 29.